

23 24 25 26 27 28 29

**SKRZYDLATA
GIEŁDA**

str. 10



Rys. Andrzej Kol

**GROTA
NARODZENIA
W BETLEJEM**

str. 2-3

Repr. Arkadiusz Karoń



PL ISSN 0137-1106 Nr indeksu 50331

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

NR 25 (845)

15 grudnia 1985

Cena 15 zł

JASEŁKA NARODOWE

str. 2-3,5



Rys. Andrzej Bronikowski

**STAROPOLSKI
KUPIDYN** str. 8

Anna Kryda

WIGILIA

Dzień się przed nocą w pokorze pochyla.
Ulice w śniegu. Skrzypi mróz.
Matczyną kołędą powraca dzieciństwo.
Na niebie gwiazdy znaczą wielki wóz.

Czas robić bilans. Wszystkie za i przeciw.
W domu pachnącym jodłą i grzybami
przy wigilijnym stole jedno puste miejsce
na pamięć po tym, który już nie wróci.

Lat coraz więcej. Przybywa kłopotów.
Srebrna nitka we włosach wyznacza ich kres.
W ciepłym pokoju gwar dziecięcych głosów.
Sny pod choinką zielone jak sen.

Wychodzą z kątów zaczarowane
skrzaty domowe, najlepsze, święte.
Nuty jaskółcze w kołędzie dźwięcznej
„lulajże, lulaj, moja perelko”.

W domu pachnącym jodłą i grzybami
gniazdo jaskółcze, w którym nie ma ptaka.

**DZIECI
GWIAZD
EKRANU**

str. 6 -7

Pogodnych Świąt życzy „Kamena”

z notatnika

2 XII. Porządkuję różne materiały z bieżącego roku, to i owo przeglądają, rosą stopy przeznaczone na makulaturę. Czasami wylawiam jakieś ciekawostki. Na przykład taką z Jugosławii. Tygodnik „Danas”, ukazujący się w Zagrzebiu, pisze, że dając ogłoszenia o wolnych miejscach pracy na odpowiedzialne stanowiska różne przedsiębiorstwa żądają m.in. zaświadczenia stwierdzającego, że „postawa moralno-polityczna” kandydata odpowiada wymogom kadrowym. Stanowi to jeden z głównych warunków powierzenia mu kierowniczego stanowiska. Jak jednak dowiedzieć się, że ktoś rzeczywiście ma takie kwalifikacje? Kto ma takie dokumenty wydawać? Tygodnik przypomina, że sąd konstytucyjny Jugosławii określił kryteria moralno-polityczne przy obsadzaniu kluczowych stanowisk jako sprzeczne z konstytucją, dlatego należy jak najszybciej odstąpić od praktyki żądania wymienionych zaświadczeń, a o przydatności kandydata powinny decydować jego kwalifikacje zawodowe, wykształcenie, zdolności organizacyjne i pracowitość.

Inna ciekawostka — z Węgier. Mija już tam szal otwierania butików, coraz więcej ich plażuje: w ub. r. aż cztery tysiące prywatnych kucyków zamknęło sklepy. Dlaczego? Po prostu powstawało ich za dużo i zaczęło działać zjawisko konkurencji. Dawniej można było szczerze odzież kłopotliwą, a sprzedawać drogo. Odzież było mało, więc interes udawało się rozkładać. Do czasu, to znaczy dopóki inni amatorzy lekkich zarobków nie wpadli na ten sam pomysł. Ludzie zaczęli przebierać i towar zły zalegał półki butików. Ci, którzy nie mogli sobie poradzić w nowej sytuacji, musieli zwrócić interes. Bo handlować też trzeba umieć!

Teraz coś z Rumunii. Lokatorzy mieszkań, będących własnością miasta, przedsiębiorstwa czy spółdzielni, zobowiązani są nie tylko do płacenia czynszów i świadczeń, lecz także do finansowego udziału w pracach mających na celu właściwe utrzymanie obiektu. Rozmiar tych świadczeń ustala stowarzyszenie mieszkańców. Poszczególne lokator nie musi wyrazić zgody na przeprowadzenie jakichś prac (np. malowania klatki schodowej), wystarczy, że zrobi to stowarzyszenie, mieszkańców, w którym lokator może, ale nie musi, uczestniczyć. Jeśli zaś lokator nie płaci czynszu lub kwot uchwalonych przez stowarzyszenie na utrzymanie obiektu, albo też w inny sposób zakłóca współżycie, to można go zgodnie z odpowiednią ustawą eksmitować, bez obowiązku zapewnienia mu innego lokalu.

A jak można zameldować sublokatora? Główny lokator musi wcześniej uzyskać pisemną zgodę wszystkich członków rodziny, którzy z nim zamieszkują, a akt umowy należy przedłożyć albo administracji albo wydziałowi finansowemu.

I w prasie rumuńskiej nie spotka się ogłoszeń typu: „wynajmę pokój (mieszkanie) cudzoziemcowi...”

4 XII. Rzeszowski, bardzo aktywny, oddział Krajowej Agencji Robotniczej znowu przysłał mi kilka ostatnio wydanych książek: „Powiem, kim jesteś” Zdzisława Umińskiego, „Tamten Rzeszów” Franciszka Kotuli, „A po człowieku dzwoni dzwon” Jana Marii Głogowskiego, „Szeźnie — dzieje obozów hitlerowskich” Stanisława Zabierowskiego oraz zgrupowane w jednym tomie (nakład 200 tysięcy egzemplarzy) „Śluby panienskie” i „Zemsta” Aleksandra Fredry. Najbardziej zainteresowały mnie pozycje Głogowskiego i Kotuli; obaj autorzy zmarli przed dwoma laty, jest więc to jakby ich głos zza grobu...

Prof. Gerard Labuda pisze na obwołane „Tamten Rzeszów”: „Gdy wywołamy się od rozmaitych bieżących powinności piśnarskich, zapuściliśmy sonde w gawędę” Franciszka Kotuli, nie zdołałem się już od tej lektury oderwać. A gdy książkę przeczytałem, zebrał mnie żal, iż tylko jeden raz w życiu, przelotnie, w czasach okupacji, postawiłem stopę na dworcu rzeszowskim (...). Myślę, że pomijając inne, bardziej krótkie miasta także mogłyby otrzymać takie opisy, widząc zaledwie kilka takich, które by mogły stać się bohaterami podobnych książek, jak np. Klece, Lublin, może Białystok i Płock i zapewne już niewiele więcej. Mogłyby — gdyby się znalazł wśród ich mieszkańców człowiek oddany wyobraźni i talentem Franciszka Kotuli...”

Chciałoby się w tym momencie zawołać: „Literaci lubelscy do pióra!”, ale jednocześnie i przypomnieć, że mamy interesującą książkę o dawnym Lublinie pisma Zygmunta Mikulskiego — „Tamten Lublin”. Polecam ją profesorowi Labudzie!

5 XII. Cytuję Hieronima Orzeszka („Sprawy i Ludzie”). Oto jedna z no-

tatek „zgrzyliwego dogmatyka”: „Rozdebatowałem się nasz kochany, niedawno wybrany Sejm wcale ostro. To, co mówił np. bezpartyjny poseł Ryszard Bender — a co znamy jedynie ze skąpych przekazów prasowych — wydaje się dość ciekawe. „Z Polakami można działać wiele, tylko należy chcieć i umieć się z nimi dogadać”. PRON już nie wystarcza — stwierdził poseł. — Trzeba nowych, dodatkowych organizacji.

Ja bym od razu poszedł krok dalej. Nie organizację — lecz partię bym stworzył: KPP — Katolicką Partię Postępu.

6 XII. Świętego Mikołaja, a może tylko Mikołaja... Rozczułam się, bo w 1956 r., lub nawet w 1955 r., zamieściłem na łamach „Sztandaru Ludu” felieton o powrocie św. Mikołaja. Zdezonizował on Dziadka Mroza, co nie wywołało żadnych protestów ze strony naszych milusińskich. W tym roku na Mikołaja zarząd lubelskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL sprawił członkom SD PRL miły prezent w postaci... walnego zebrania sprawozdawczego. Nie wybieraliśmy na razie nowego zarządu, niemniej każdego z nas obdarzono kielbasą wyborczą w postaci szklanki kawy i porcji flaków. Poza tym bufet był obficie zaopatrzony i wszyscy mogli się najeść do syta, aczkolwiek ceny serwowanych potraw do konkurencyjnych nie należały.

Zebranie, bodaj po raz pierwszy w dziejach SD PRL i b. SDP, odbyło się w sali konferencyjnej Prezydium WRN. Miejsca było więc sporo, zwłaszcza że frekwencja nieco zawiódła. Dopisali natomiast zaproszeni goście, może dlatego, że I sekretarz KW PZPR w Lublinie sam jest członkiem SD PRL (a swoją drogą ciekawe, czy to jedyny przypadek w kraju?).

O dyskusji nie da się nic specjalnego powiedzieć. Korciło mnie, aby trochę zamieszać, ale ponieważ wręczono mi złotą odznakę i honorowy dyplom za „ponad 30-letnią pracę dziennikarską”, uznałem, że i milczenie jest złotem.

6 grudnia przed południem uczestniczyłem w drugim zebraniu: podstawowej organizacji partyjnej przy lubelskim oddziale ZLP i „Kamienie”. Wybraliśmy nowe władze: I sekretarzem został Adolf Lekki, a II — Tadeusz Gwardak. Dzień przedtem Adolf Lekki otrzymał nagrodę literacką Towarzystwa Przyjaciół Lublina. Gratuluje! Gdy wspominał o nagrodach muszę też serdecznie pogratulować memu redakcyjnemu koledze, Ireneuszowi J. Kamińskiemu, który za książkę „Kwiat na ruinie” dostał nagrodę literacką II stopnia Ministra Obrony Narodowej. (Nagrodę I stopnia otrzymał Wiesław Myśliwski za głosy „Kamień na kamieniu”). Nie zauważyłem, aby prasa lubelska ów fakt odnotowała, aczkolwiek nagrodzona książka I. J. Kamińskiego traktuje o trudnych problemach Lublina 1944 roku. Zwykle jednak tak bywa, że w rodzinnym mieście trudno być prorokiem. W dodatku, gdy się pracuje w „Kamieniu”. I gdy się tego czy tamtego kiedyś tam arazli...

7 XII. Mija piętnasta rocznica podpisania w Warszawie układu między Polską a Republiką Federalną Niemiec. Artykuł pierwszy układu był (i jest) niezmiernie ważny. Obie strony stwierdziły, że linia graniczna ustalona w Poczdamie i przebiegająca od Bałtyku wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej stanowi zachodnią granicę Polski; obie strony potwierdziły nienaruszalność ich granic i zobowiązały się do poszanowania swej integralności terytorialnej. Strony wyrzekły się tak w teraźniejszości jak i w przyszłości wszelkich roszczeń terytorialnych. W artykule drugim mowa była o tym, że obie strony w swych wzajemnych stosunkach oraz w sprawach bezpieczeństwa europejskiego będą się kierować zasadami Karty Narodów Zjednoczonych, a wszelkie spory rozwiązywać przy użyciu środków pokojowych, ponadto powstrzymując się od stosowania przemocy i groźby jej użycia. Artykuł trzeci zapowiadał podjęcie kroków mających na celu pełną normalizację i wszechstronny rozwój wzajemnych stosunków między PRL a RFN, przede wszystkim rozszerzenie współpracy gospodarczej, naukowo-technicznej i kulturalnej. Artykuł czwarty stwierdzał, że zawarty układ nie dotyczy wcześniejszych umów obu stron, a artykuł piąty zawierał postanowienia proceduralne.

Z okazji piętnastolecia zawarcia układu I sekretarz KC PZPR, przewodniczący Rady Państwa PRL, gen. armii Wojciech Jaruzelski, udzielił wywiadu dla zachodnioniemieckiego tygodnika „Stern”.

„Układ — stwierdził gen. W. Jaruzelski — [...] zamknął definitywnie w

plaszczyźnie między państwowej problematyce związane z obecnym kształtem narodowych granic socjalistycznego państwa polskiego oraz stworzył możliwość zbudowania jakościowo nowych stosunków. [...] Żywny szacunek i uznanie dla zachodnioniemieckich współtwórców polityki normalizacji stosunków RFN z PRL, dla sił społecznych i ludzi, jak np. Willy Brandt i Walter Scheel, szczerze oddanym idei porozumienia między naszymi krajami. W minionych latach również częściej publikacji prasowych rzeczowo, obiektywnie przedstawiała złożoną problematykę stosunków między naszymi państwami. Dysponując z urzędu operatywną i szczegółową informacją. Prywatnie dodam, że moja żona, która z wykształcenia i zawodu jest germanistką, sygnalizuje mi również ciekawsze fragmenty publicystyki, ukazujące się w RFN. Jednakże historyczna szansa, jaką stworzył układ, nie została w pełni wykorzystana”.

Gen. Wojciech Jaruzelski, rozwijając ten temat, wskazał, że nie my jesteśmy winni, iż ta szansa nie została w pełni wykorzystana. Niemal nazajutrz po zawarciu układu rozpoczęła się w RFN głośna kampania zmierzająca do podważenia istoty przyjętych zobowiązań. Uparte trwanie przy fikcji „istnienia Rzeszy Niemieckiej w granicach 1937 roku” samo w sobie wystarcza, aby w każdym Polaku wzbudził odruch obawy i niechęci. Jak mamy rozumieć — zapytał gen. Jaruzelski — orzeczenia Federalnego Trybunału Konstytucyjnego z 31 lipca 1973 roku i z 7 lipca 1975 roku? Do czego zmierzają sztuczne rozmnażanie tzw. mniejszości niemieckiej w Polsce, udzielanie otwartego poparcia organizacjom przesiedleńczym, rewizjonistycznym i odwetowym, głoszenie i publikowanie aroganckich, szowinistycznych poglądów niektórych znanych polityków RFN? Dlaczego my, Polacy, mamy pozostać obojętni na to, że po dziś dzień, w 40 lat po Poczdamie i Norymberdze, miliony młodych obywateli RFN uczą się fałszywie naświetlanej historii naszych państw i narodów, a także korzysta z podręczników i map, na których „tymczasowa” jest 1/3 naszego suwerennego terytorium? Czy wreszcie nie jest znamiennie, że właśnie z Republiki Federalnej, z Monachium, emitowana jest agresywna i jęcząca, antypolska propaganda w postaci programu „Sender Freies Europa”? Bez dobrych stosunków z Polską — mówił dalej generał — nie może być mowy o skuteczności bońskiej „polityki wschodniej”. Wbrew Polsce, czy obok Polski, żadnych spraw, które są ważne także dla RFN, rozwiązać się nie da. Myślę, że nad Renem zbyt często liczy się na to, iż takie czy inne trudności pozbawia Polskę jej pozycji we wspólnocie socjalistycznej oraz jej znaczenia w polityce europejskiej. To wielki błąd. Tym bardziej dziś, kiedy nasz polski głos liczy się w sojusznich stolicach z niezmienną siłą.

Osobną część wywiadu była poświęcona problematyce gospodarczej. Przywódcę PRL podkreślił, że RFN jest tradycyjnie pierwszym wśród krajów zachodnich partnerem handlowym. Rozwój współpracy z Polską mógłby także sprzyjać ułatwieniu rozwiązania problemów w niektórych dziedzinach zachodnioniemieckiej gospodarki. Szeroki, chłonny rynek Polski powinien budzić zainteresowanie. Nasz 37-milionowy kraj będzie zawsze solidnym partnerem.

Gen. W. Jaruzelski otwarcie przedstawił też niektóre problemy polityczne naszego kraju, próbując obalić pewne mity rozpowszechniane na Zachodzie. Zachodnioniemieckim czytelnik „Stern” otrzymał poważną dawkę argumentów, które zmuszą go do bardziej samodzielnego myślenia.

Ostatnie dni wykazały, że po genewskim spotkaniu wielkich ulega pewnej zmianie i klimat polityczny w Europie. Gen. W. Jaruzelski złożył wizytę we Francji. Prasa światowa pisze o zwrocie polityki Francji wobec Polski. Amerykański dziennik „New York Times” podkreśla, że już sam fakt, że do wizyty doszło, jest dużym sukcesem polskiego przywódcy. Nie można też nie docenić znaczenia podróży gen. W. Jaruzelskiego do Libii, Algierii i Tunezji. Polska staje się coraz bardziej izolacją, co muszą zauważyć nawet zadowoleni oponenti naszego kraju.

8 XII. Dobrze, że kierownictwo lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej myśli o komputerach i chce (jak się dowiedziałem w sobotniej „Panoramie Lubelskiej” w TV) większą część półtoramilionowej nagrody Prezydenta Miasta na ten cel przeznaczyć. Ale...

Na klatkach schodowych Osiedla im. Sienkiewicza gromadzą się wieczorami chłopcy i dziewczęta, gadają, krzyczą, bawią się, ściskają. Bardziej od komputera przydałaby się im na razie najzwyczajniejsza świetlność. Aż dziw, że Rada Osiedlowa o tym nie myśli, chociaż co ona robi właściwie też nikt nie wie...

M. A. Jaworski

B YLA pierwsza w nocy. Nasze stopy klepały ostro o bruk Via Dolorosa. Jerozolima spała. W ciemności rysowały się brylasy kopuły świątyni i nierówne zarysy wąskich kamieniczek. W chłodnym świetle błyszczały krzyże, półksiężycy i dawidowe gwiazdy. Nawet w tym mroku trzy wielkie wyznania trwały nieruchomo w wiecznym sporze o to miasto, każde dając świadectwo własnej prawdy. Przylatujący, nieco monotony głos księdza, który był naszym przewodnikiem, wybił się ponad szepoty uspiętego miasta. Stacje, wyznaczające poszczególne etapy cierpienia sprzed dwóch tysięcy lat, były zamknięte. Także ta „nasza”, którą wzięli w opiekę żołnierze II Korpusu, idąc tędy do Polski. Szliśmy tą drogą samotni i może dlatego bliżej tradycji, z którą się wiązała. Było nas pięćdziesięciu — pracowników polskiej budowy na Bliskim Wschodzie i było Boże Narodzenie. Mieliliśmy mało czasu. Nasz przewodnik mówił nam, jak wczesnym rankiem ta kręta droga zaroi się różnorodnym gwarem. Ale my będziemy już wtedy gdzie indziej.

Pomysł tej wycieczki zrodził się w Jordanii. Pomogło nam, wszędzie tu obecne, poczucie własności tej ziemi, zupełnie różne od aktualnej mapy politycznej. Na zachodnim brzegu Jordanu — pierwsze placówki graniczne Izraela. Wizy dostaliśmy na kartkach. Krótkoterminowe. Potężnej budowy żołnierz w rozpiętej kurtce, ze słuchawkami na uszach, podrygiwał w rytm rock-and-rola, inny palił cygaro w niedbalej pozie. Tylko supernowoczesna broń i wzrok powracający ustawicznie za rzekę świadczyły o napięciu, jakie trwa tu bezustannie. Do Jerozolimy dowiozły nas dwie wieloosobowe taksówki prowadzone przez Arabów. Cenę wynegocjował z nimi izraelski celnik. Przytakiwali skwapliwie.

Idziemy dalej. Gdzieś tu, niedaleko, w tym mroku jest Góra Oliwna. I Sciana Płaczu. Mijamy w milczeniu poszczególne świątynie: kościół Skazania (Condanna), Ecce Homo i kościół Biczowania. I już fasada bazyliki, wzniesionej przez krzyżowców. Po prawej stronie od wejścia znajdują się podwójne, strome schody wiodące na Kalwarię. Wąskimi drzwiami wchodzimy przed Święty Grób. Wygląda jak relikwiarz. Ma konstrukcję grobu rzymskiego, ale całe wnętrze przypomina cerkiew. Elementy obrządku wschodniego są tu wszechobecne. To dla nas zaskoczenie. Na sklepieniu — starocerkiewne malowidła; nad srebrną płytą, oznaczającą miejsce, gdzie, według tradycji, stał krzyż Jezusa — ikony; nad ołtarzem — wysokie, smukłe postacie wschodnich świętych, o dużych, smutnych oczach. Przed bazyliką zachowano szczelinę w skale, która, zgodnie z Ewangelią, powstała w chwili śmierci Chrystusa. Płyta marmurowa grobu błyszczy wylotem. W chybottliwym blasku świateł. Niektórzy klękają, inni szepeją modlitwy pochyleni, jeszcze inni trwają w zadumaniu. Po dłuższej chwili, znów stukając w ciemnościach po Krzyżowej Drodze, wracamy do Domu Polskiego, gdzie

L UCJAN Rydel, autor najpopularniejszych jasełek XX wieku — „Bellejem polskiego” — pisał w roku 1903: „Niechaj nam w jasełkach nikt nie przedstawia, że Jezus urodził się w Palestynie (...). Zapewne tak było historycznie, ale w jasełkach to nieprawda. Biblijna Palestyna nie istnieje. Rodzi się tu, między nami, wśród polskiej mroźnej zimy, a Bellejem leży w Polsce, gdzieś w Krakowskim, Proszowskim, Sandomierszczyźnie. Przez szpary nędznej szopy dmą północne wiatry (...), góra niebo wyskrzcone gwiazdami, a między nimi najjaśniejsza — ta bellejemka gwiazda, zwiastunka Odkupiciela”.

Jasełka nie są przecie widowiskiem o polskim rodowodzie. Przeszczepili je franciszkanie z Włoch, podobno w wieku XII. Były rozpowszechniane w polskich kościołach, jako pomoc w rozumieniu treści ewangelicznych o narodzeniu Jezusa. Treści jasełek szybko zaczęto w Polsce przekładać na kategorie rodzime. Obraz „polskiego Bożego Narodzenia” w jasełkach ukształtował się chyba jeszcze w średniowieczu. Zapisanym przykładem jasełek tego typu jest XVII-wieczny „Dialog na święto Narodzenia Chrystusa Pana”. Anonimowy autor wykorzystał tu pomysł usytuowania zdarzeń bożonarodzeniowych gdzieś w okolicach Krakowa. Wprowadził postać ubogiego krakowskiego studenta, pasterzy o rodzinnych polskich

Święta w Betlejem

Wiesław Horabik

jedliśmy wigilię i gdzie przyjęto nas ciepło i ze wzruszeniem. To tak, jak byśmy powrócili do punktu wyjścia. Teraz możemy jechać do Betlejem.

W owym czasie wyszło rozporządzenie cesarza Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz. Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, aby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna.

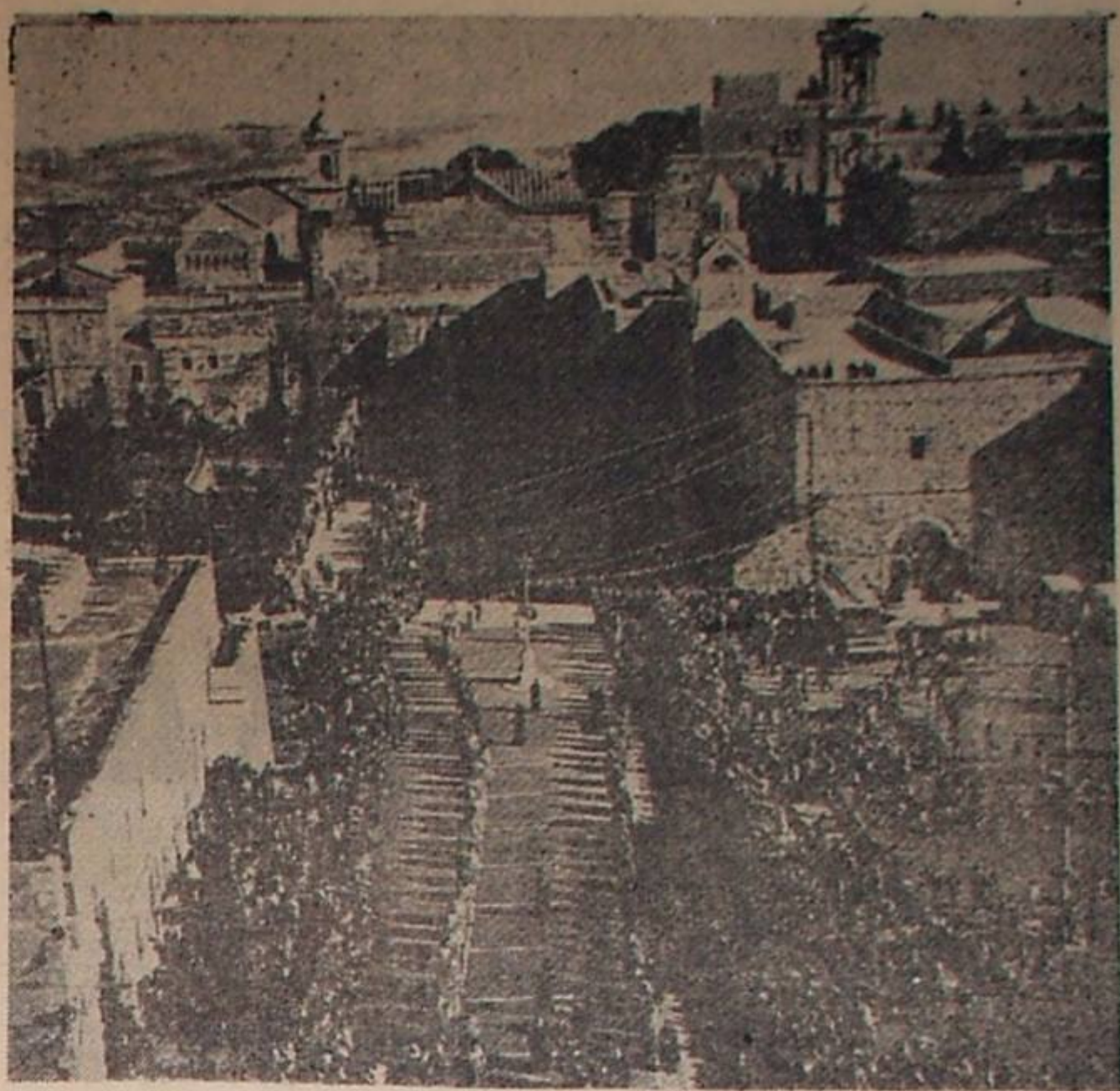
Betlejem to nazwa poniekąd symboliczna. Po arabsku znaczy „dom mięsa”, po hebrajsku zaś — „dom chleba”. Miasto otaczają niewysokie wzgórza, porośnięte zrużniałymi od słońca zielonizną. Na tych wzgórzach do dziś wypasają się stada białych owiec. Zabudowa miejska jest zwarta, uliczki wąskie i ciasne, i tylko na bocznych dziedzińcach rosną wysokie cyprysy. Na podmurówkach domów rozciągają się ceglaste gazony pełne róż. Chociaż to Nazaret jest nimi sławny. Nad głowami mamy pozbawione chmur niebo, w które wyrastają, jak w Jerozolimie, minarety meczetów, wieże kościołów i dawidowe gwiazdy na zwieńczeniach dachów. Taka jest cała ta ziemia. Budząca wciąż emocje trzech wielkich kultur, które z niej wyrosły. I nie ma chyba podobnego miejsca na ziemi, gdzie prawo własności byłoby równie trudne do udowodnienia.

Bazylika Narodzenia znajduje się w starym centrum miasta. Na prawo przylega do niej ortodoksyjny kościół armeński, dalej kościół prawosławny, a na lewo zakon franciszkanów. W centrum rozciąga się plac z czasów Justyniana, zamknięty z tyłu fasadą bazyliki. Wejście do niej zostało zwężone w okresie najazdów tureckich,

żeby uniemożliwić Turkom wprowadzenie tu koni. Obecna bazylikę wzniesiono około 540 r. odbudowując zniszczone obiekty, powstałe za Konstantyna. Podczas inwazji perskiej w 614 r. bazylika nie została zburzona tylko dlatego, że na fasadzie znajdują się wizerunki Trzech Króli ubranych w szaty wschodnie, których najeźdźcy wzięli za magów perskich.

Wchodzimy do środka. Jasne, chłodne wnętrze. Marmur gładki od przemijania wieków. Wysokie, złoczone lichtarze. Od stropu zawieszono dziesiątki ozdobnych naczyń na srebrnych łańcuchach. Grotę Narodzenia otacza jedwabna, gęsto zdobiona kotara. W centrum ołtarza obraz Świętej Rodziny, a pod spodem marmurowy blat, okolony czarnym aksamitem, i srebrna gwiazda z napisem łacińskim: *Tu narodził się Jezus Chrystus z Maryi Dziewicy*. Nad gwiazdą zwiesza się półkolem ogromna ilość naczyń wotywnych. Na prawo ołtarz Trzech Króli oraz żłóbek, w którym złożono niemowlę. W tym żłóbku figurka maleńkiego Chrystusa leży od dnia Bożego Narodzenia do dnia Objawienia (Trzech Króli). Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierworodnego syna, owinęła go w pieluszkę i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie. Na włącznie słomy i płachcie materiału o wyszywanych brzegach leży nieruchoma, niezbyt estetycznie wykonana lalka. Opuszczamy bazylikę, przeżywając, każdy na swój sposób, wydarzenia sprzed setek lat.

Za miastem, na wschód od Betlejem, jest Sanktuarium Pasterzy. To nowoczesny kościół, powstały w 1953 roku na ruinach dawnego klasztoru z IV wieku. Jego formę architektoniczną stanowi namiot Nomadów, wędrujących plemion wypasających bydło i owce. Kiedy powracamy do miasta, jest już pełny dzień. Na ulicach trwa



Uroczysta procesja w Betlejem.

Repr. Arkadiusz Karoń

tradycyjny targ betlejemski. Można tu kupić pomarańcze i granaty, figi i cytryny, wyroby z miedzi i brązu, biżuterię złotą i srebrną, cukry i bakalie wschodnie. Handlują nimi Arabowie i Palestyńczycy, i Żydzi w długich chalatach i pończochach z jedwabiu. Między straganami kręcą się arabskie kobiety o zasłoniętych twarzach i piękne, oliwkowocercie dziewczyny żydowskie. No i oczywiście turyści. Gwar, jaki tu panuje, nie różni się niczym od gwaru każdego bliskowschodniego „suku”. I tak będzie aż do popołudnia.

Okolo 15-tej rozpoczyna się święto. Ulicami miasteczka rusza uroczysta procesja. Na jej czele kilkudziesięciu księży w białych komżach, a tuż za nimi łaciński patriarcha Jerozolimy w bogato zdobionej szacie. Po obu stronach procesji kroczą, odświętnie ubrani w żółt i pomarańcz, skautowie i posuwa się szpaler konnych policjantów. Kopyta stukają równo o nawierzchnię drogi, a konie gryzą ściągnięte krótko wędzidła. Dźwięczą dzwony wszystkich kościołów obrządku rzymskiego. W dusznym powietrzu rozpełza się słodki zapach kadzidel. Za duchownymi — wybitniejsi goście Betlejem tego dnia, m.in. żona byłego prezydenta USA Cartera i znany piosenkarz Johnny Cash. A na chodnikach tysiące turystów z całego świata.

Błyskają flesze i terkoczą kamery. Słychać Anglików i Amerykanów, Francuzów i Niemców, których liczna obecność tutaj, na żydowskiej ziemi, musi budzić podświadome zdziwienie. Procesja jest niezwykle kolorowa i podniosła. Jej czoło wkracza już do świątyni, a dalsze człony dopiero wypelzają z wąskich uliczek miasta. Odpowiednio w 15 i 21 dni później przemarszerują tedy procesje innych obrządków.

Zmrok już zapada nad Betlejem, kiedy wyruszamy w powrotną drogę. Jeszcze tylko Nazaret i Kana Galilejska i kąpiel w ciepłej wodzie jeziora. A potem zachowamy już w pamięci na zawsze skąpaną w słońcu ziemię, poznaną łagodnymi wzgórzami i tafłami błękitnej wody; dziwną ziemię, z której wyrosły prawdy kształtujące przez wieki wiele współczesnych cywilizacji, a która, jak historyczna kość niezgody, położyła się przez stulecia u zbiegu ludzkich namiętności, fanatyzmu i pożądania. Ziemię piękną, nieco tajemniczą i pełną nostalgii, wciąż jednak skazaną na przykuwanie uwagi światła brutalnością spraw, które prowokują. I jeszcze jedna refleksja rodzi się w naszej pamięci: terytorialna skromność tego obszaru, na którym stały się rzeczy tak dziwne, że ich konsekwencje rozlały się tak szeroko, na cały niemal świat.

imionach, wreszcie wzmianki o krakowskich kramach i uniwersytecie.

Proces polonizacji jasełek rozpowszechnił się szczególnie, kiedy poczęto rozbudowywać w tych widowiskach intermedia. Uznano bowiem, że te świeckie żarty profanują kościoły, stąd w pierwszej połowie wieku XVIII zabro-

nięto wzorcem dla powstających od połowy XIX wieku tekstów jasełkowych, o charakterze narodowym, patriotycznym, przeznaczonych dla teatrów.

Były to teksty łączące treści bożonarodzeniowe z elementami tradycji, historii, wprowadzające postaci o charakterze znaków, symboli polskości, mo-

narciowicza (1849 r.). Teksty te wypełnione są treściami i postaciami o charakterze patriotycznym. Zwłaszcza „Szopka”, gdzie pojawiają się postaci z polskich legend (Lech, Wanda), postaci królów, poetów, bohaterów narodowych (Kochanowski, Rej, Pasek, Bolesław Chrobry, Piotr Skarga, Żółkiew-

historii (okresu zaborów, walk narodowowyzwoleńczych) to napisane w 1904 roku „Betlejem polskie” Rydla. Najbardziej popularne i chyba najlepsze polskie jasełka narodowe. Rydel wprowadził do swego tekstu nie tylko motywy dotyczące świetności dawnej Rzeczypospolitej. Przede wszystkim problemy szczególnie wówczas żywe: motyw prześladowań (postać Unity Podlaskiej), dążeń narodowych i niepodległościowych (dzieci z Wrześni, powstańcy z 1830 i 1863 r.). Stało się od razu „Betlejem polskie” tekstem poręcznym i ważnym ze względu na zawartość treści patriotycznych i religijnych. Wprowadzało bowiem również motyw „gromad ludu” (Kaszubów Mazurów, Litwinów, Rusinów) ze wszystkich części i regionów podzielonej Rzeczypospolitej. Wyrażał Rydel tym sposobem świadomość jedności narodowej, która nie była wówczas powszechna.

W okresie międzywojennym powstawały liczne utwory jasełkowe wyrażające inspirowane „Betlejem polskim” Rydla, m. in. „Betlejem polskie” Janny Brosowej, „Jasełka historyczne” Kazimierza Laskowskiego. W latach dwudziestych powstawały także teksty jasełek regionalnych, albo, dokładniej mówiąc, ich literackie opracowania.

Dokończenie na str. 4—5

Jasełka narodowe

Lidia Wójcik

niono wystawiania w kościołach jasełek z intermediami. W tym czasie zapoczątkowany został zwyczaj chodzenia z szopką, który sprzyjał procesowi polonizacji, wypełniania tekstów jasełkowych elementami politycznymi, patriotycznymi. Zjawisko to nasiliło się szczególnie w okresie powojennym. Już w „Szopce krakowskiej”, której tekst opisał Karol Estreicher w roku 1848, znalazły miejsce motywy polityczne, włączone do tego tekstu przez starego szopkarza Michała Ezenekiera. „Szopka krakowska” stała

tytuł walk o niepodległość i dążeń narodowościowych. Jasełka takie pełniły niewątpliwie ważną rolę w budowaniu narodowej świadomości. W czasach powojennych, przeciwnie, pisane były w kraju, nie na emigracji. Bowiem w utworach szopkowych, jasełkowych, można było poza cenzurą zaborczą przemycić hasła polityczne, dążenia wolnościowe. Wiele tekstów tego typu powstało już w pierwszej połowie XIX wieku, a więc należą do literatury romantycznej, m.in. „Gwiazdka” Wincetego Pola (1844), „Szopka” Teofila Le-

ski, Konfederat Barski). Nie wprowadzają jednak te jasełka elementów z najnowszej, współczesnej autorowi, historii Polski. Takich prób nie podejmują także powstałe w końcu XIX wieku „Jasełka” Marii Konopnickiej, „Bóg się rodzi” Wiktora Gomulickiego, ani nawet nieco późniejsze utwory tego typu: „Szopka polska” Or-Ota (1907) i „Jasełka polskie” ks. J. Łukaszewicza (1920).

Jasełka naprawdę „współczesne”, polityczne, odważne w zakresie prezentacji motywów z najnowszej wówczas

kamena

NA muzyce się nie znał. Zwłaszcza kosciołowej. Nie znaczy to, aby dostoje tony wydobywane z organów nie przyprawiały go o przysłowiowe drżenie serca. Zatem był wrażliwy na muzykę służącą religii i wiernym. Tak siebie oceniał.

Natomiast jego syn, Darek, miał słuch, jak twierdzili nauczyciele muzyki, niemal absolutny. Drażniło go trochę owo „niemal”, ale proboszcz Jan Samuel, sam niebagatelnie muzykalny, wyjaśnił mu, że coś, co nazywamy słuchem absolutnym, prawdopodobnie w ogóle nie istnieje.

— Na twoim miejscu — dodał proboszcz — posłałbym syna do szkoły muzycznej.

— Tak robię, chcę tylko, żeby najpierw skończył szkołę podstawową.

— To już może być za późno.

— Uczęszcza do ogniska muzycznego i ponadto bierze prywatnie lekcje.

— Cóż, miejmy nadzieję, że poradzi sobie. — Proboszcz zdjął z głowy biret i przetarł chustką spoczoną łysinę.

— W naszym miasteczku jeszcze nigdy nie mieliśmy nikogo tak utalentowanego.

Zaimponowała mu bezstronna postawa proboszcza, bowiem wiedział o pewnym konflikcie, a raczej różnicy zdań, pomiędzy Darkiem a duszpasterzem. Otóż proboszcz uparł się, aby miechy do kościelnych organów były, jak dotychczas, poruszane nogami, a nie prądem. On, Wiktor, zaznał z powodu tych miechów wiele radości podczas sześciu lat. Klócił się nieraz z kolegami, który z nich ma kalikować. Czynność polegała na tym, że jeden z nich wchodził na wielkie, drewniane pedały i przyciskał je na przemian nogami. Trzeba było przy tym uważać, aby zaledwie nie rozdać miechów, i na to, aby całkiem nie schudy. Niedorajda lub gapa nie nadawał się do kalikowania. Stąd licytowanie się wśród chłopców, kto natłoczy miechy. Podzielał więc przywiązanie proboszcza do tradycji, w przypadku ich miasteczka — ośmiusetletniej.

— Organy na prąd — powiedział Darek do proboszcza — są silniejsze. To przyjemnie mieć pod palcami ich siłę. I robić z nią to, co się chce.

— Nie grasz, mój drogi, wyłącznie dla przyjemności, ale głównie dla chwały Pana.

Chłopak nie nie odrzekł, nie chciał sporu z proboszczem, który pozwalał mu grać na organach. Prawdę mówiąc, grał piękniej niż organista. Muzyka w jego wykonaniu była zawsze ozdobą nabożeństwa. Proboszcz i wikary zabiegali o to, żeby grał. Stał się pieśczochem parafii.

Starsi i silniejsi koledzy nie bili go. Raz tylko oberwał, bo lubił ptaki. Nigdy, na przykład, nie uczestniczył w rozbijaniu gołębników. Ich rozbijanie, przy pomocy proc wyrzucających kamienie wielkości jabłka, uważał za wstrętne. Ktoś komuś „podprowadził” gołębie i ktoś na kimś „chciał się odegrać”. Z powodu małych łostrow ludzi cierpiał ptaki.

Wiktor wiedział o bójce, którą stoczył jego syn ze starszym i wyższym o głowę kolegą. Dostał od tamtego porządne lanie. Poszło o pisklęta kawek. Ich gniazdo mieściło się w szkolnym kominie. Antek, właśnie ów starszy chłopiec, wykuł w nim otwór, wyrwał pisklęta i wyrzucił na ulicę przez dymnik na dachu. Darek pobiegł na strych, żeby zobaczyć, kto zabił.

— Niepotrzebnie wdajesz się w bójkę — powiedział Wiktor do syna. — Przecież on musiał zabić te kawki.

— Nie w taki sposób.

— A w jaki?

Chłopiec milczał.

— Zadał im szybką i pewną śmierć — powiedział Wiktor. — Bo niby co miał zrobić? Rozbić im główki o polepę strychu? Wolal nie widzieć, jak giną.

— Tato, jeśli miał odwagę zabić, to powinien ją mieć, żeby widzieć.

— Zawsze masz odwagę?

— Tak, taką, żeby nie krzywdzić.

„Przemądrzały facecik” — pomyślał o synu, zresztą nie bez dumy (Darek miał dopiero dziesięć lat). Opowiedział o tym zdarzeniu wikaremu.

— Ciekawi mnie — odezwał się ksiądz — dlaczego nie chcesz ukształtować tej jego, tak wielkiej, wrażliwości.

— Właśnie ją kształtuje. Myślę, że

takie, a nie inne, zachowanie się Darka i taka, a nie inna, odpowiedź w sprawie odwagi, są zasługą rodziców.

— A kształtowanie przy pomocy wiary? Nie posyłasz chłopca na lekcje religii. Teraz już możesz.

Wikary zrobił aluzję do tego, że on, Wiktor, już nie jest sekretarzem do spraw rolnych w komitecie powiatowym PZPR. Stanowisko to zajmował przez kilka lat, aż do reorganizacji administracyjnej kraju w połowie lat siedemdziesiątych. Powiedział wtedy, że chce wrócić do produkcji. Został dyrektorem pegeeru.

— Już możesz — powtórzył wikary. — Wówczas, jasne, że ci nie wypadało.

— Przecież Darek był niemowlakiem. Jak mógł chodzić na religię?

— Racja, teraz jednak może. Jest ochrzczony. Bo go ochrzcziliście, tylko w innej parafii, daleko stąd.

— Zona to załatwiła. Ja dowiedziałem się po fakcie.

— Szkoda. Ludziłem się, że gdzieś tam w głębi jesteś katolikiem.

— Daruj sobie, Mietek. — Klepnął wikarego w ramię. — Znasz mnie od lat — sięgnął po dzbanek i napełnił ponownie herbatą filiżanki.

— Jak to się ludzie zmieniają... — westchnął wikary. — Mówił mi proboszcz, że byłeś ministrantem.

— Tak, trzy lata — podsunął cukierek i zamyślił się, podczas gdy tamten mieszał łyżeczką herbatę.

Owszem, był ministrantem pomiędzy dwunastym a piętnastym rokiem życia. Nad jego łóżkiem wisiał obraz Chrystusa modlącego się na Górze Oliwnej. Wiedział, że będzie to ciężka noc dla Zbawiciela i dlatego przed zaśnięciem całował obraz. Nie zasnął, zanim nie ucałował Jezusa.

Pojechał w odwiedziny do ciotki Janki w Warszawie. Ciotka nie miała obrazu Chrystusa na Górze Oliwnej i w ogóle żadnego z Nim obrazu. Nie mógł zasnąć przez dwie noce z rzędu. Męczył się, ale nie myślał o Chrystusie, tylko o sobie. Zawsze, przed ucałowaniem obrazu, widział miniony dzień. Dobry lub zły. Pocałunek pieczę-

tował ten dzień i pozwalał myśleć o następnym. Pojął, że dla niego najważniejszy jest on sam oraz ludzie, z którymi codziennie się stykał, z którymi coś go łączyło. Jednych lubił, innych nie znosił, obracał się jednak, dzięki nim, w realiach. Miał na nie wpływ i one na niego. Teraz powiedział:

— Nie lubię pojęć, wolę konkrety.

Ksiądz wyjął łyżeczkę z filiżanki i ostrożnie położył na spodku — niby jakiś wielki ciężar mogący zgnieść porcelanę. Ten wyważony ruch ręki z łyżeczką i nader powolny świadczył, że wikary obmyśla pytanie. I zapytał:

— Na przykład?...

„Nie wysilił się zbyt — pomyślał o nim — albo jest ostrożny, najpierw chce spenetrować”. — Powiedział:

— Na przykład literatura. Dla mnie literatura to filozofia w akcji. Masz reakcje postaci, sceny. Dzień się zewnętrznie lub wewnątrz osób kreowanych przez autora. Z nich wynika określona filozofia, a nie z pojęć, jak w filozofii.

— Nie lubisz jej?

— Lubię, ale bardziej cenię psychologię. Filozofia narzuca nam to i owo, zaś psychologia pozwala lepiej zrozumieć siebie.

Wtedy, po powrocie z Warszawy od ciotki Janki, jak zwykle przed zaśnięciem ucałował obraz. Zamknął dzień swoją pieczęcią. Pomyślał: — „Co się ze mną stanie, gdy przestanę wierzyć?”

Dopił herbatę, zapytał:

— Wiesz, w jakim momencie człowiek już nie wierzy? — Nie czekał na odpowiedź. Zadał kłopotliwe pytanie. Wikary, naturalnie, wie, co odrzec. Nie o to jednak chodzi, nie o polemikę z odpowiedzią. Na pewno doszłoby do sporu. Przeto szybko dodał: — Już nie wierzy, kiedy pierwszy raz zada sobie pytanie: co ze mną będzie, gdy przestanę wierzyć.

— Dawno tak siebie zapytałeś?

— Dwadzieścia pięć lat temu.

— Świetnie pamiętasz, przywiązujesz do tego wagę; więc nie jest jeszcze z tobą źle.

— Dobrze być kapłanem. Zawsze można mieć nadzieję.

— W porządku, przyjacielu... — Wikary niemal ze wstrętem przyglądał się, jak Wiktor zapala papierosa. Nie przeszkadzało mu dym, lecz fakt, że ktoś ulega zgubnej, jego zdaniem, dla zdrowia przyjemności, a w dodatku, co ważniejsze od tracenia zdrowia, nie potrafi zapanować nad sobą i pozbyć się nałogu w imię wyższej motywacji, na przykład okazania charakteru.

— W porządku. O synu jednak pomyśl. — Po chwili uzupełnił, niby to lekkim tonem, ale całkiem serio: — Już dwa lata temu powinien przystąpić do pierwszej komunii. Jakże może przystąpić, skoro nie zna katechizmu? Swoją duszę możesz gubić, chociaż nie powinienes, czemu jednak czyjaś?

— W porządku, przyjacielu... — Wikary niemal ze wstrętem przyglądał się, jak Wiktor zapala papierosa. Nie przeszkadzało mu dym, lecz fakt, że ktoś ulega zgubnej, jego zdaniem, dla zdrowia przyjemności, a w dodatku, co ważniejsze od tracenia zdrowia, nie potrafi zapanować nad sobą i pozbyć się nałogu w imię wyższej motywacji, na przykład okazania charakteru.

— W porządku. O synu jednak pomyśl. — Po chwili uzupełnił, niby to lekkim tonem, ale całkiem serio: — Już dwa lata temu powinien przystąpić do pierwszej komunii. Jakże może przystąpić, skoro nie zna katechizmu? Swoją duszę możesz gubić, chociaż nie powinienes, czemu jednak czyjaś?

— W porządku, przyjacielu... — Wikary niemal ze wstrętem przyglądał się, jak Wiktor zapala papierosa. Nie przeszkadzało mu dym, lecz fakt, że ktoś ulega zgubnej, jego zdaniem, dla zdrowia przyjemności, a w dodatku, co ważniejsze od tracenia zdrowia, nie potrafi zapanować nad sobą i pozbyć się nałogu w imię wyższej motywacji, na przykład okazania charakteru.

— W porządku. O synu jednak pomyśl. — Po chwili uzupełnił, niby to lekkim tonem, ale całkiem serio: — Już dwa lata temu powinien przystąpić do pierwszej komunii. Jakże może przystąpić, skoro nie zna katechizmu? Swoją duszę możesz gubić, chociaż nie powinienes, czemu jednak czyjaś?

— W porządku, przyjacielu... — Wikary niemal ze wstrętem przyglądał się, jak Wiktor zapala papierosa. Nie przeszkadzało mu dym, lecz fakt, że ktoś ulega zgubnej, jego zdaniem, dla zdrowia przyjemności, a w dodatku, co ważniejsze od tracenia zdrowia, nie potrafi zapanować nad sobą i pozbyć się nałogu w imię wyższej motywacji, na przykład okazania charakteru.

— W porządku. O synu jednak pomyśl. — Po chwili uzupełnił, niby to lekkim tonem, ale całkiem serio: — Już dwa lata temu powinien przystąpić do pierwszej komunii. Jakże może przystąpić, skoro nie zna katechizmu? Swoją duszę możesz gubić, chociaż nie powinienes, czemu jednak czyjaś?

— Nie czyjaś, tylko syna. Twój Bóg żąda deklaracji, zupełnie jak przy wstępowaniu do organizacji politycznej.

— Porozmawiaj z dzieckiem. Może ono chce chodzić na religię? Z tobą porozmawiaj.

— Dobrze, Mietku, w stosownym momencie.

— Ty, naturalnie, wyznaczysz stosowny moment?

Wikary nie myślał się. Minęło pół roku, a Wiktor sprawy ani z żoną, ani z synem nie omówił. Tymczasem dla Darka następował powoli kres sielanki. Coraz mniej osób dorosłych traktowało go jak pieśczocho parafii, a koledzy zaczęli nawet z lekka szykanować. Mieli pretensje, że gra na organach, ale organizmie kalikować nie chce. Wyjaśnił im, że jest przeciwny

KALIKOWANIE

Andrzej Gerłowski

takiemu sposobowi nadymania miechów. Pomimo to sam chętnie grał, kiedy ktoś nogami uruchamiał pedały. Tak więc, obiektywnie patrząc, koledzy mieli rację.

Wiktor powiedział do wikarego:

— Parafie stać na to, aby zamontować urządzenie elektryczne.

— Jasne, tu o co innego biega. — Wikary dostrzegł uśmiešek na twarzy Wiktor przy słowie „biega”. Wyjaśnił: — Dużo przestaje z młodzieżą. Przejmują jej sposób mówienia. No, co to znaczy: dziupla pusta, próchno wyłeciało?

— No, co?

— Rodziców nie ma w domu. — Odsunął się o krok od Wiktor, bo ten wypuścił kłęb dymu. — Nożne tłoczenie miechów chłopcy traktują jako powinność wobec kościoła.

— Mojemu chłopakowi dokuczają chyba przede wszystkim dlatego, że nie chodzi na religię.

— Nie powinno cię to zaskakiwać. — Nie jestem zwolennikiem wychowywania dla posłuszeństwa. — Po chwili dodał: — W stadzie.

— Rozmawiałeś z synem?

— Nie.

— Sądzilem, że nie masz nie przeciwko wychowywaniu w stadzie. Rozumiem natomiast, że jesteś przeciwny wychowywaniu w moim stadzie. Dajże, proszę, synowi szansę na dokonanie wyboru.

— Gra na nabożeństwach to mało?

— Wiktorze, wszak to dla niego trening i przyjemność.

— Nie neguję, lecz i kościół z tego coś ma. Czy nie możemy pozostać przy takim rozwiązaniu?

— Połowicznie — odrzekł wikary i podał Wiktorowi rękę na pożegnanie. Uściskał ją przy tym mocno i serdecznie, jak ktoś, kto jest ponad różnicę zdań, bowiem tylko jego zdanie się liczy.

Wieczorem, kiedy Wiktor wrócił z pracy i siedział w swoim pokoju, przyszła żona. Miał kłopoty, bo pękła ściana elewatora. Około dziesięciu ton żutynego ziarna wywalilo się na zewnątrz. Musieli je zebrać i zabezpieczyć. Żona powiedziała:

Jasełka narodowe

Dokończenie ze str. 3

Jasełka regionalne istniały bowiem od dawna, funkcjonowały jednak na zasadzie ustnego przekazu. Jędrzej Cierniak, twórca i animator ludowego ruchu teatralnego, opracował i wydał w 1926 roku teksty „Szopki krakowskiej” i „Szopki rabczyńskiej”, wykorzystywane wielokrotnie przez wiejskie zes-

poły teatralne, szczególnie w Polsce południowej. Na Wileńszczyźnie ogromną wówczas popularność zyskały „Betlejem ostrobramskie” Tadeusza Łopalewskiego i „Betlejem na Kresach” Wandy Stanisławskiej. W Warszawie i na Mazowszu wyjątkowe uznanie zdobyła „Szopka warszawska” w opracowaniu Artura Oppmanna, wystawiana jeszcze przed I wojną w teatrach warszawskich.

W tym czasie rozwijał się także nurt twórczości szopkowej o charakterze satyrycznym, traktującej wyda-

żenia bożonarodzeniowe zupełnie po świecku. Ogromne uznanie zdobyła wówczas „Pastoralka” Leona Schillera. W okresie międzywojennym była, obok „Betlejem polskiego” Rydla, najpopularniejszym i najczęściej wystawianym tekstem bożonarodzeniowym. Utwór ten jest dramatem koledniczym, nie misterium, zachowuje dystans wobec przedstawianych zdarzeń, stąd np. zamiast aniołów wprowadza postaci koledników. Schiller sięgnął ponadto do autentycznych tekstów staropolskich, wprowadził folklor muzyczny, podjął próbę rekonstrukcji obrzędu koledniczego.

Po II wojnie typ jasełek narodowych, polskich zanika prawie zupełnie. Twórczość tego typu pojawia się rzadko. W latach sześćdziesiątych powstają „Jasełka moderne” Iredyńskiego i „Po górach, po chmurach” Brylla. Treści religijne, tradycyjnie prezentowane w utworach jasełkowych, zostały sparożone, postaci biblijne znacznie uproszczone, czy nawet uproszczonione. Ja-



Rys. Andrzej Bronikowski

— Darek wrócił ze szkoły z rozbitym nosem. Klasa szła na lekcję religii do domu parafialnego, a on nie. Milczał.

— Zrozum, jest coraz starszy. Teraz już i jego oceniają, nie tylko mamę i tatę.

— Chcesz powiedzieć, że u nas za to biją, za inne zdanie?

— I tak, i nie. Antek Pawłowiak zarządził Darkowi, że ma pogańskie imię: Dariusz. Powiedział, pogański król Persów, po nim nosisz to zastrane imię. Na to Darek, że w czasach Dariusza nikomu jeszcze o chrześcijaństwie nawet się nie śniło. Tak jak i tobie, odparł tamten i dodał, że imię Dariusz, tak czy inaczej, jest zastrane. No i pobili się... Niech może chodzi na tę religię, co? — Helena siedziała w fotelu spięta. Długie palce dłoni spłótła tak mocno, że aż poczerwieniały ich końce.

— A jakże — odparł. — Najpierw nauka religii, potem pierwsza komunika, potem ministrantura; jak będzie starszy — noszenie chorągwi, a gdy będzie jeszcze starszy i proboszcz uzna lub obecny wikary, który do tej pory zostanie proboszczem, że Darek jest wystarczająco poważny... — Przerwał na chwilę dla zaczerpnięcia tchu. — Uzna, że już może nad nim nosić baldachim podczas procesji. To zewnętrzne atrybuty uległości, a o wewnętrznych pomyślał?

— Co zrobimy?

— Zawołaj go. Helena poszła po Darka, a on Wiktor, gapił się na wzorzysty dywan. — Cholerny elewator! — mruknął. Postanowił, że zrobi aferę firmie. Fabryka dotychczas budowała solidne elewatory, ten jeden się nie udał. Nie znaczy to, że można się z tym pogodzić. Od pojedynczego błędu z reguły zaczyna się seria. — Dobra, myśl o swoim chłopaku, o tym, żeby mu jakas ściana nie pękła.

Do pokoju weszli Helena i Darek. — Matka powiedziała ci, o czym chcemy z tobą rozmawiać?

— Tak.

— No i?... Masz kłopoty, ponieważ nie chodzisz na religię. Co chcesz zrobić? Siadaj — wskazał Darkowi fotel. Niech chłopak rozsiądzie się wygodnie. Będzie czuł się pewnie podczas trudnej rozmowy. Darek usiadł w fotelu.

— Właśnie dlatego, tatku — powiedział — że zaczynam mieć kłopoty, nie chcę chodzić na religię.

— Takiś twardy? — przyglądał się synowi z uznaniem, ale coś, co go naprawdę zaskoczyło, nastąpiło za chwilę, gdy usłyszał:

— Nie tylko to. — Chłopiec spojrział w twarz dorosłych. — Dlaczego „Nie zabijaj” jest piątym przykazaniem, a nie pierwszym? A pierwszym jest: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”? Czy mogę myśleć o dobrym Bogu?

— O retę! — wyrwało się Helenie. — „Madrako” pomyślał Wiktor. — W kogo on się wdał? Helena i ja musieliśmy mieć inteligentnych przodków. — Takie postawienie sprawy — ciągnął Darek — nazwać można egoistycznym.

Wiktor, po długiej chwili, zdecydował się powiedzieć:

— Religia katolicka to religia Boga osobowego poza światem i życie według przykazań otrzymanych od niego przez objawienie.

— Wierzycie w takiego Boga?

— Nie — odrzekł Wiktor, a Helena przytaknęła skinieniem głowy.

— Nie wiem, synku — powiedziała

Helena. — Przypuszczam, że w całym wieku coś zostaje. Może to, co nazywamy duszą? Nie sądzę jednak, aby Bóg osobowy, o którym mówił ojciec, zajmował się tą duszą.

— To jest Bóg transcendentny — wtrącił Wiktor. — Przypomniłam sobie — dostrzegł uznanie w oczach żony.

— Jest inny Bóg? — zapytał Darek. — Bo jeśli pierwsze przykazanie mówi: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”, to muszą być inni bogowie.

— Nie muszą, ale ludzie w nich wierzą. Stąd taka, jak mniemam, treść przykazania. — Spoglądał w duże niebieskie oczy syna. Ufne. — Owszem, można jeszcze mówić o Bogu obecnym w świecie, o Bogu tradycyjnych religii Dalekiego Wschodu: hinduizmu, szintoizmu. — Zapatrzył się w mrok za oknem. — Bóg immanentny. — Uśmiechnął się. — Też sobie przypomniałem. — Obecny w świecie — powiedział Darek. — Na czym to polega?

— Chociażby na szacunku dla rodziny, zwierząt, ptaków, roślin, wody i gór.

— Wszędzie tam jest on obecny?

— Tak ludzie wierzą.

— Podobają ci się, tato, taki Bóg?

— Myślę, stary, że warto znać różne religie.

— Tak, ale czegoś trzeba się trzymać.

— Trzeba żyć godnie.

— To znaczy... — zaczął Darek, lecz ojciec mu przerwał:

— To znaczy ułoż sobie dekalog według własnej hierarchii.

— Trudno będzie.

— I na tym polega myślące życie — odrzekł i wstał z krzesła. Czuli się niezręcznie, bowiem sentencjonalnie zakończył rozmowę i wiedział, że nie jest oryginalny. — „Ale mam rację” — pocieszył się w duchu. Powiedział: — Matka przygotowała ci w kuchni kanapki

— Muszę mu poświęcić co najmniej tyle uwagi, co elewatorom — po wyjściu syna odezwał się Wiktor

— Nie przypuszczam, że jesteś tak zorientowany w sprawach religii. Bo ja nie — powiedziała Helena

— Na tym polega błąd laickiego wychowania.

— Idę do kuchni. Dopilnuję, żeby zjadł wszystko.

Na drugi dzień, kiedy stał na pegeerowskim dziedzińcu i wsłuchiwał się w pracę silnika świeżo wyremontowanego traktora, dobiegł go głos sekretarki. Pomachała dziewczynie ręką, dając jej do zrozumienia, że nie słyszy. Silnik dudnił basowo. Przyłożyła dłoń do ucha. Poszedł do swojego gabinetu. Telefonował wikary, zapytał:

— Mogę ci zająć minutę?

— Mów.

— Rozmawiałem dzisiaj z twoim chłopakiem.

— Ja wczoraj. Musimy o tym przez telefon?

— Wyjeżdżam na tydzień. Nie chcę, żeby Darek cię zaskoczył. Chyba jestem w porządku, co?

— Mów, mów...

— Coś ty mu naopowiadał o Bogu transcendentnym i immanentnym?

— A co, nie ma takiego rozróżnienia?

— Chłopcze, Bóg chrześcijan jest i transcendentny, i immanentny. Tylko za mało się o tym mówi. Wagę zagadnienia docenia Jan Paweł II. Mówią, że to była jedna z przyczyn jego podróży na Daleki Wschód. — Po chwili dodał: — Więc pogadałem z Darkiem.

— Fajnie — stwierdził. I kpiąco: —

Trzeba mu było wyjaśnić różnicę pomiędzy idealizmem transcendentnym a transcendentnym Immanuela Kanta.

— Wiktor, ja nie żartuję. Twój syn wie, o co chodzi. I rozmawiałem z nim tak, żeby sobie języka nie połamał.

— Dzięki i za to.

— Nie bocz się na mnie, stary. Cześć! Stuknęła odkładana słuchawka. Po powrocie do domu powiedział Darkowi, że już wie o jego rozmowie z wikarym.

— Pozwolisz mi, tatku, chodzić na religię?

Helena milczała, a on, Wiktor, pomyślał, że ma nietypową żonę, lub wygodną, bowiem cały ciężar rozmowy przerzuciła na niego.

— A chcesz? — zapytał.

— Chcę się zorientować. — Darek ogarnął spojrzeniem i matkę. — Pozwolicie?

Wiktor dostrzegł aprobujący gest żony.

— Nie możemy ci nie pozwolić — powiedział. Po namyśle: — Co z kolejnością przykazań? Chodzi mi o piąte.

— Ksiądz Rajkowski zapytał, czy dekalog zawiera to, na czym mi zależy. Odparłem, że tak. Wobec tego, on mi powiedział, jeśli zawiera, to cię to powinno zadowolić. A że chcesz zmienić kolejność, mój synu, dodał, jest przejawem pychy, wynikającej z życiowego niedoświadczenia.

— Starsi zawsze szermują argumentem o niedoświadczeniu.

— Tatku, a czy ja je mam? Nie skończyłem jedenastu lat.

— Mówisz tak — Helena z uśmiechem wtrąciła — jak byś wierzył, że po ukończeniu jedenastu lat staniesz się dojrzalszy.

— Mamo, konstytucja mówi o osiemnastu latach.

— Stary mądrako — powiedział Wiktor — zabierz się do odrabiania lekcji.

Chłopiec poszedł do swojego pokoju. Helena odezwała się:

— Dobrze postąpiliśmy. Tolerancja to piękna sprawa.

— Szkoda, że jednostronna. — Złoczył skórzaną kurtkę.

— Przejadę się motorem. Odetchnę świeżym powietrzem.

— Pojadę z tobą.

Potem, gdy pędzili tak szybko, że nie mogli rozmawiać, przestał się ostatecznie ludzi, że on i żona nie ponieśli porażki. Ale już po tygodniu spotkało ich przyjemne zaskoczenie. Darek oznajmił:

— Organista prosił mnie, żebym kalikował. Zrobił to za mnie Benek Lewandowski.

*

Za parafialnymi budynkami, po lewej stronie rozległej łąki, znajdował się staw. Nad jego lewym brzegiem rosły piaszczyste wierzbki, wśród których komary miały chyba swoje główne siedlisko, a nad prawym rosły wysmukłe topole. Ich liście srebrzyły się od słońca. Staw był zarybiony. Pluskały się też w nim kaczkę i gęsi. Proboszcz i wikary pozwalali chłopcom łowić w nim ryby. Co prawda niezbyt często.

Dzień, w którym Darek przystąpił do pierwszej komunii, był wyjątkowo piękny. Wiał dosyć silny wiatr i niósł ciepło po miasteczku i po okalających je polach i łąkach. Wiktor niejednokrotnie potem myślał, że jego syn i on, mówiąc zwyczajnie, do końca życia zapamiętają ten dzień.

Darek po wyjściu z kościoła nie przyłączył się do gromadki dziewcząt, ubranych w białe sukienki, i chłopców

w granatowych garniturkach. Byli od niego o trzy lata młodszy, a to przypominało mu, że z opóźnieniem przystąpił do pierwszej komunii. Poszedł nad staw, gdzie Antek Pawłowiak za przyzwoleniem kościelnego, mającego pieczę nad stawem, karmił ryby. Do karmy zbiegł się także ledwo opieczony kaczką. Na brzegu leżała mała buteleczka po jakimś lekarstwie. Darek podniósł ją i rzucił na tafle stawu, aby zrobiła na niej kilka żabek, chociaż wiadomo, że do tego nadają się najlepiej płaskie kamyczki. Buteleczka odbiła się od wody raz, a mocno i trzasnęła kaczką w lebek. Zabiła je. Darek wrócił do domu i nie chciał jeść śniadania. Po kwadransie Wiktor zrozumiał dlaczego. Przyszedł kościelny z martwym kaczką w garści.

— Panie dyrektorze — powiedział — nie takiego się nie stało, ale taka nie żyje. Sprawka Darka. Pan ma hodowlę. Mnie proboszcz powierzył dozor nad stawem. Pan mi da jedną taczkę ze swojej hodowli.

— Dobrze, panie Wójcik.

— Jest pan zupełnie pewien, że zabił Darka? — zapytała Helena.

— Najzupełniej, proszę pani.

— Dobrze, panie Wójcik — powiedział Wiktor.

Kościelny położył kaczkę pod drzwiami i poszedł.

— Nad stawem był Antek — odezwał się Darek.

— Co nam dajesz do zrozumienia? — zapytał Wiktor. — Dlaczego nie powiedziałeś o tym przy kościelnym?

— Bo nie.

— Nie chciałeś obciążać kolegi? — zapytała Helena.

— Nie ma sprawy — powiedział Wiktor. — Tak czy inaczej dam Wójcikowi kaczkę.

Zaniósł ją kościelnemu jeszcze tego samego dnia.

— Tam był jeszcze kolega Darka — powiedział.

— Zgadza się, karmił ryby. No i zlały się kaczkę. Darek rzucił czymś i zabił jedną. Nie mówię, panie dyrektorze, że zrobił to naumyślnie. Co to, to nie.

— W porządku, panie Wójcik.

W domu powiedział do Darka: — Jednak to ty.

Chłopiec skinął głową, że tak.

„Biedny — pomyślał Wiktor. — Miał pecha w dniu komunii. Chciałby zdjąć z siebie ciężar i obarczyć nim kogoś” — Oznajmił:

— Skłamałeś. Nie tylko kaczkę masz na sumieniu, ale i kłamstwo.

Darek zaczął płakać i wybiegł z jadalni. Myśleli, że jest w swoim pokoju.

— Niech... — odezwał się Wiktor — niech się nad tym zastanowi.

— Żal mi go, w takim dniu...

Helena poszła do pokoju Darka i raz wróciła.

— Nie ma go. Pójdę go poszukać.

— Razem pójdziemy.

Szukali w różnych miejscach, tylko nie w kościele, ponieważ wydawało się im, że jest to ostatnie miejsce, do którego syn się uda po tym, co zrobił. W końcu jednak Wiktor zajrzał do kościoła, a ściślej — na chór.

Darek kalikował. Wiktor wycofał się dyskretnie. Skinął na Helenę i opuszczili kościół.

— Nie ma go? — zapytała.

— Kalikuje — wyjaśnił.

— Więc tak to wygląda?... —

— Owszem, dosyć beznadziejnie. —

Kiedy zbliżali się do domu, oznajmił: — Ale jest nadzieja. Ja też kalikowałem.

Helena wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: czy się nie ludzisz?

selka te dotyczą spraw życia współczesnych Polaków. Nie można ich jednak sytuować w rzędzie jasełek narodowych „polskich”. Dalekie są bowiem od tradycji jasełek tego typu, które zawierały zawsze ważne motywy historyczne, prezentowały narodowych bohaterów, w kontekście powagi czy nawet sakralności.

U schyłku lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych w teatrach zaczęły pojawiać się jasełka polityczne. Należą do nich m.in. „Jasełka na dzień bieżący” Andrzeja Jareckiego, skomponowane na starym schemacie jasełkowym, wypełnione treściami aktualnymi, problematyką najnowszych wydarzeń. Takim typem jasełek jest również „Koleda-nocka” Brylla, osadzona na kanwie współczesnych zdarzeń społecznych, politycznych (przywodzi „wypadki grudniowe”).

Na początku lat osiemdziesiątych powróciło na sceny polskich teatrów za-

wodowych „Betlejem polskie” Rydla (w Nowej Hucie, Łodzi, Kielcach, Gdańsku). W wielu inscenizacjach tekst uzupełniano rozmaitymi aktualnościami, co należy przede do tradycji widowisk jasełkowych. Przedstawienia te zyskały popularność i zainteresowanie ze strony publiczności.

Powojenna literatura dramatyczna jest raczej uboga, jeśli chodzi o teksty jasełkowe, szczególnie jasełka narodowe. A przecież istnieje chyba potrzeba powstawania takich tekstów i takich inscenizacji w teatrach. Trwała jest przecież w Polsce tradycja wyrażania emocji narodowych, ciągle wracamy do tej tradycji. Istnieje więc potrzeba przywoływania modeli, bohaterów, wzorców życia. I w jasełkach, szopkach najłatwiej czasem mówić o sprawach niełatwych.

Lidia Wójcik

Począta literacka

Jan M. Górki. Tak bardzo pragnąłem, aby „Począta literacka” była pogodna, przyniosła moim korespondentom miłe, a nawet pozytywne odpowiedzi. Niestety, przesyłki kierowane do mnie tak mało dają mi po temu okazji! Pańska także. Za wiele w niej opisu, który bardziej przystoi prozie lub formom dziennikarskim. Tam, gdzie wiersze są od tego wolne, widoczne jest mechaniczne przenoszenie doświadczeń innych poetów.

Mimo to chcę jednak Panu przekazać także coś dobrego. Ma Pan sporo spostrzeżeń i wiedzy o człowieku. Jeśli Pan wykorzysta to w sposób właściwy dla poezji, będziemy mieli w przyszłości o czym rozmawiać.

Małgorzata K. z Lublina. Nadesłany utwór, niestety, nie jest wierszem, mimo że Pani go tak nazywa. Zresztą, jeden, co może mi on powiedzieć o Pani możliwościach?

Natomiast ciekawia Pani list. Tak, zapewne zostanie Pani rzeczywiście kiedyś dziennikarką. Ma Pani prawie piętnaście lat, a nuty pobrzmiwające w liście i sądy zapowiadają przyszłą publicystkę. Pragnienie Pani zapewne się spełni, jeśli zachowa Pani swoje obecne zamiłowania.

Krzysztof N. Lublin. Pisze Pan: „jestem chłopakiem z bruku (...), częściej miałem w ręku młotek niż pióro”. Nie powinien Pan mieć kompleksów, ani ich w sobie pielęgnować. Nuty pobrzmiwające lubelską Wieniawą zwracają uwagę, choć wiersze napisane są niedbale. Moja rada: niech Pan spróbuje opisać swoje doznania i spostrzeżenia w sposób zwykły, np. jak list, opowieść. Wydaje mi się, że proza byłaby bardziej właściwa dla Pańskiego temperamentu i możliwości.

Leszek C. Radom i Bogumiła M. Rzeszów. Nie ma o czym mówić.

Dzieci naszych „gwiazd”

Mirosław Derecki

NIE mówi się o tym głośno, ale faktem jest, że idole światowego kina, „gwiazdy” będące dla nas przez lata uosobieniem młodości, urody, sprawności fizycznej czy seksu, osiągnęły, w większości, wiek dojrzały. I że na ekranie filmowym następuje nieubliżające „zmiana warty”; nie tylko zresztą na ekranie, także w tzw. filmowym „wielkim świecie”. W wielu przypadkach miejsce rodziców zajmują ich dzieci. Dzieci, z którymi się dotąd zbytnio nie afiszowano.

Przez trzydzieści lat uosobieniem męskości był na przykład Kirk Douglas (dotąd nie możemy zapomnieć kowbojskich filmów z jego udziałem, wciąż wspominamy ową „porwijającą” scenę miłosną z „Indyjskiego wojownika”, którą rozgrywali Kirk Douglas i Elsa Martinelli... w rwącym potoku górskim), przeto nie dziwny się wcale, gdy dzisiejszy młody człowiek powiada nam, że stanowczo woli Douglasa od Belmonda. Tylko... że jemu nie chodzi o sześćdziesięcioletniego ojca



Michael i Kirk Douglasowie

trzech dawno dorosłych synów: Michaela, Petera i Erica, ale właśnie o Michaela, wcielonego ostatnio w postać poszukiwacza przygód, Jacka Coltona, w widowiskowym filmie „Miłość, szmaragd i krokodyl”. A Belmondo? Tak, dwudziesto-dwuletni Paul Belmondo, syn bohatera „Człowieka z Rio”, to wybijający się na zachodnich torach wyścigowych, kierowca samochodowy...

Czterdziestoletni już Michael Douglas zdystansował ojca nie tylko jako amant, ale również na polu finansowym. Gra w filmach, lecz jest również producentem filmowym, i to jednym z najbardziej liczących się w Stanach Zjednoczonych. Ma prawdziwego „nosa” do interesu: finansowany przez niego „Chiński syndrom” przyniósł 100 milionów dolarów wpływów kasowych, „Lot nad kukulczym gniazdem” (przed którego realizacją ostrzegali Michaela wszyscy „wytrawni znawcy” filmowego biznesu) dał 200 milionów zysku, a „Miłość, szmaragd i krokodyl” — 100 milionów. Realizowany następnie kolejny film o przygodach Jacka Coltona, „Diament Nilu” — także z udziałem Michaela Douglasa i Kathleen Turner jako pary głównych bohaterów — przyniesie, niewątpliwie, podobne zyski...

Michael Douglas to już wszakże mężczyzna „w sile wieku”. Tymczasem córka sex-symbolu Ameryki, ciemnowłosej Raquel Welch, nosząca — po babce Indianie — egzotyczne imię Tahnee, posiada również nieprzeciętną urodę, a co więcej — 22 lata, połowę wieku Raquel. Jeszcze nie tak dawno zachodnie tygodniki ilustrowane ekscytowały się jej ucieczką z domu, od — zazdrośnej jakoby o młodość i urodę — matki. Dzisiaj Tahnee ma już za sobą debiut aktorski w filmie „Cocou”, a ostatniego lata rozpoczęła we Włoszech zdjęcia do kolejnego filmu, „Amarsi un po” („Trochę się kochać”),

mając za partnera Tyrone Powera Juniora, syna nieżyjącego już, amerykańskiego amanta o tym samym imieniu.

O rok młodszy od Tahnee Welch jest Anthony Delon, syn słynnego francuskiego aktora filmowego Alaina oraz jego pierwszej żony — Nathalie Delon. Bardzo podobny z wyglądu do ojca — choć może o łagodniejszych nieco rysach twarzy — i również jak on „piękny, uwodzicielski oraz pełen uroku”. Tak przynajmniej twierdzi znana już w świecie — choć dopiero dwudziestoletnia — amerykańska aktorka Brooke Shields, która pozowała razem z nim do zdjęć dla tygodnika „Life” (jako dobrze zapowiadającym się młodym aktorem europejskim). Anthony Delon, który nakręcił już swój pierwszy film, miał debiutować początkowo w remake’u słynnego filmu Autant-Lary „Diabeł wcielony” (z wielką młodzieńczą kreacją Gérarda Philipe’a w głównej roli), ale obawiając się zapewne niekorzystnej dla siebie konfrontacji, przeczornie wycofał się przed rozpoczęciem zdjęć.

Trzeba tutaj powiedzieć, że do filmu trafił młody Delon nie tyle dzięki zdjęciom z Brooke Shields na łamach „Life’u”, a następnie, wiosną 1985 r., „Paris Matchu” kiedy to oboje reklamowali na Barbados, w scenerii Karaibów, kostiumy kąpielowe, ile na fali skandalu towarzyskiego, jakim dla sfer arystokratycznych i filmowych był, rok wcześniej, jego głośny związek z młodszą córką Rainiera władcy Monaco, księżniczką Stefanią.

Do tej pory niemalże zgrzyot księżu Rainierowi — a przedtem także jego żonie, nieżyjącej od trzech lat, słynnej amerykańskiej aktorce Grace Kelly — przydawała starsza córka, Karolina. Najpierw wyszła za mąż za młodego francuskiego finansistę Philippe Junota (któremu daleko było do arystokratycznej „klasy” rodziny Grimaldich, władców Monaco), następnie opuściła go i związała się ze Stefano Casiraghiem, któremu urodziła latem 1984 r. syna Andrea... A wszystko to w atmosferze niezwykłych napięć dla, katolickiej od wieków, rodziny panującej oraz dla ludności księstwa Monaco — spowodowanych niepewnością, czy papież Jan Paweł II zgodzi się uznać małżeństwo z Junotem za nieważne.

I oto tegoż samego lata 1984 r. młodsza córka księcia, którą prasa nazywała „księżniczką rebeliantką”, zaczęła się bez skrupułów afiszować na plaży w Monaco z nie cieszącym się nadzwyczajną opinią (i mającym już nawet na swym koncie krótki pobyt w więzieniu) Anthony Delonem. Równocześnie opinię publiczną bulwersował, wynikły z tej nowej znajomości Stefani de Monaco, rozpad jej związku z dwa lata od niej starszym, Pauliem Belmondo...

I tutaj trzeba się cofnąć o trzy lata, kiedy to siedemnastoletnia wówczas Stefania — jeszcze za życia księżnej Grace — obchodziła swoje urodziny w paryskiej rezydencji Grimaldich. Poznała wówczas przypadkiem młodzieńczego syna Alaina Delona, Anthony’ego. Na tym, na rozmowach i tańcach podczas owego przyjęcia, na razie się skończyło. Delon zniknął z pola widzenia, a tymczasem Stefania zainteresowała się, poznanym wkrótce potem, młodym kierowcą wyścigowym, wysportowanym i odpowiedzialnym (podobnie jak jego ojciec, słynny francuski aktor), dziewiętnastoletnim Pauliem Belmondo...

Rodzina Belmondo pochodzi z Włoch, z Sycylii. Pierwszy przybył do Francji i tutaj osiedlił się, jeszcze przed I wojną światową, Paolo Belmondo, późniejszy znany francuski rzeźbiarz Paul Belmondo. Jego syn, Jean Paul Belmondo, zamiłowany sportowiec osiągający dobre wyniki w boksie, po skończeniu paryskiego Conservatoire został najpierw aktorem teatralnym, a po błyskotliwym debiucie w filmie Jean Luc Godarda „Do utraty tchu” (w 1959 r.) — rozpoczęła się jego olśniewająca kariera filmowa. Mający dziś około pięćdziesiątki „Bebel” jest wciąż ulubieńcem publiczności światowej. (Niestety — jak sugerowano na początku tego artykułu — publiczności w pewnym już wieku). Specjalizuje się w ostatnich latach w filmach przygodowo-rozrywkowych, w rolach wymagających wyjątkowej zręczności i kondycji fizycznej, umiejętności kaskaderskich. Czy może ktoś dziwić, że syn „Bebela”, Paul Belmondo, skoro nie zdecydował się na film, wybrał bez wahania karierę sportowca?

Młody Paul Belmondo stał się wkrótce nieodłącznym towarzyszem Stefani de Monaco. Przyzwyczajony do sportowego reżimu, niechętnie chodził do dyskotek, które uwielbiała jego towarzyszyca, zachęcał ją do nauki. Po wypadku samochodowym Grace Kelly i jej śmierci czuwał nad Stefanią w szpitalu w Monaco, gdzie trafiła w wyniku kryzysu nerwowego. (Do dzisiaj nie zostało, notabene, do końca wyjaśnione, czy to aby na pewno księżna Grace, a nie Stefania — jak niektórzy uważają — siedziała w krytycznym momencie za kierownicą samochodu). Wreszcie młodzi ludzie wynajęli wspólny apartament przy Placu Trocadero w Paryżu...

Po ponownym, przypadkowym spotkaniu się Stefani i Anthony Delona na plaży w Monaco,

latem 1984 r., jej związek z Pauliem zaczął się rozpaść. Dawna ulubiona aktorka Alfreda Hitchcocka („Okno na podwórze”, „Złodziej w hotelu”) oraz partnerka Gary Coopera z filmu Freda Zinnemanna „W samo południe” — Grace Kelly zapewne o wiele mniej laskawym okiem spoglądałaby na tę nową znajomość, niż na związek ze zrównoważonym Belmondem. Ale księżna Grace już nie żyła...

Prasa pisała w tym czasie, że ów „trójkąt”: Stefania, Paul Belmondo i Anthony Delon, jest jakby „konsekwencją” trzydziestoletniej bez mała rywalizacji „klanu” Belmondo z „klanem” Delon. Dwa doskonałi francuscy aktorzy, Jean Paul oraz Alain, prawie równi wiekiem, startowali niemal w tym samym czasie i równie szybko zdobyli krajową, a następnie międzynarodową, sławę. Belmondo urzekł publiczność jako bohater „Do utraty tchu”; Delon, po kilku pierwszych filmach, „wypłynął” na powierzchnię rolami w „Rocco i jego braciach” Viscontiego (1960 r.) oraz „Zaśmieniu” Antonioniego (1961 r.). Ale sławny stał się naprawdę dopiero dzięki pamiętnej roli Manfreda w ekranizacji Viscontiego „Lamparta” Giuseppe di Lampedusa, gdzie miał za partnerkę piękną Claudię Cardinale; oboje u boku Burt Lancastera (księcia di Salina)... „Klan — Delon to uwodzicielskość, urok, niebezpieczeństwo; klan — Belmondo — to równowaga, inteligencja, odpowiedzialność”. Chyba można się zgodzić w tym miejscu z opinią francuskiego dziennikarza z „Paris Matcha”.

Młody Paul Belmondo wzrastał w atmosferze rodzinnej, zaprzyjaźnionej z obojgiem rodziców, mogącej oczekiwać od nich zawsze wsparcia, dobrej rady, pomocy. Syn Alaina Delona, znakomitego aktora, a także producenta, filmowego, finansisty, businessmana, człowieka niezwykle bogatego, był przez całe lata dzieckiem odrzucanym przez ojca, a przez to pełnym kompleksów, fobii, pretensji i osobistych żalów. „Uwodzicielski”, podobający się kobietom, syn „nie starzejącego się” pierwszego francuskiego amanta (który jednakowoż 8 listopada tego roku ukończył pięćdziesiąty rok życia) jest dopiero na początku swojej kariery filmowej. Ale już w tej chwili jego dalsza droga życiowa rysuje się w sposób tyleż barwny, co... niebezpieczny.

A co z „niestałą” Stefanią de Monaco? Otóż ucichło na temat jej i Anthony Delona. Natomiast głośno o niej samej — jako o „postaci” ze świata mody. Podjąwszy studia projektanckie u Diora,



Tahnee Welch

zaczęła wkrótce prezentować specjalnie dla niej tworzone kreacje oraz biżuterię. Wylansowała własny styl: dziewczyny o chłopięcej sylwetce, szerokich ramionach, krótko ostrzyżonych zaczesanych do góry włosach (na karku wymodelowanych w tzw. „szczurzy ogon”). 31 grudnia 1984 r. wystąpiła w sylwestrowym wydaniu znanej francuskiej telewizyjnej audycji „Champs Elysées”.

prowadzonej przez Michela Druckera. Potem pojawiła się na okładce ekskluzywnego amerykańskiego tygodnia „Vanity Fair”, potem — kilkakrotnie w „Paris Matchu”. W Stanach Zjednoczonych jej zdjęcia spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem. Doszło do tego, że latem 1985 r. solista grupy rockowej Van Halen, długowłosy David Lee Roth, oświadczył się jej publicznie — za pośrednictwem telewizji — dodając, że nie tylko kocha Stefanię, ale jest ona w jego oczach „księżniczką rocka” (co miało być niewątpliwie najwyższym komplementem). Czy Stefania de Monaco przyjęła



Stefania de Monaco

oświadczyć — na razie nie słyhać. Natomiast nie byłoby nic dziwnego, gdyby — przy takiej popularności — zdecydowała się, wzorem swojej matki, sięgnąć po laury aktorki filmowej...

♦

Takimi oto drogami toczą się losy dzieci naszych (pokolenia mojego i moich rówieśników) „gwiazd”, naszych młodzieńczych idoli kina. Trzeba w tym miejscu podkreślić, że „gwiazdy” nie chcą dać za wygraną. Jean Paul Belmondo ukończył niedawno swój kolejny „kaskaderski” film — „Hold up” („Chwyć”), Alain Delon przez całe ostatnie lato kręcił w Kongo sceny do przygodowego, wymagającego od aktora doskonałej zręczności fizycznej, filmu „Parole de flic” („Słowo gliny”). Belmondo pokazuje się coraz częściej ze swoją nową, młodą przyjaciółką, kruczołosłą Brazylijką — Carlos Sottomayor; Alain Delon — z dwadzieścia lat od niego młodszą Catherine, właścicielką boutique'u w Genewie. Tymczasem pięćdziesięcioletnia Sophia Loren nie bała się, w ubiegłym roku, stanąć przed kamerą razem ze swoim młodszym synem, jedenastoletnim Eduardo, w filmie Eduardo Pouzi — „Aurora”.

A w ogóle to — proszę państwa — wśród aktorów filmowych panuje w ostatnich czasach moda na posiadanie dzieci i nie ukrywanie się z tym. Może to jest swoliste wyzwanie rzucone własnemu, wiekowi? Może zmieniają się „normy” atrakcyjności z sex-wampa na niepozabawioną seksu — aktorkę-matkę? Może kobiety mają już dość Ruchu Wyzwolenia Kobiet? Kilka lat temu, około czterdziestki, zdecydowały się na urodzenie pierwszego dziecka Claudia Cardinale i Ursula Andress; zostały niedawno matkami młode „gwiazdy” ekranu — Ornella Muti i Nastasia Kinski. Wychowując dzieci Jane Fonda, Isabelle Huppert, Marlene Jobert, Isabelle Adjani...

Gdy przed ćwierć wiekiem, w 1960 r., zapytano Brigitte Bardot, co myśli o urodzeniu dziecka, bohaterka „I Bóg stworzył kobietę” odpowiedziała w sposób oschły, że przede wszystkim myśli o swoim następnym filmie. Na kolejne pytanie: czy urodziwszy dziecko, zajmowałaby się nim sama, odpowiedziała bez wahania: „Od tego są niani!”

No tak, to było dwadzieścia pięć lat temu, a BB była prekursorką „nowej mentalności” kobiet, mającej nastąpić dopiero „rewolucji obyczajowej” itp., itd. Teraz, po latach, niby wszystko się zmieniło, jest moda na rodzinę, dzieci i macierzyństwo wśród aktorek. W tym tylko szkopol, że... w jednym z wywiadów piękna Amerykanka, Brooke Shields, zapytana przez dziennikarza, czego jej — która tak poważnie traktuje swoje życie i swoją pracę — najbardziej brakuje, skarży się: „Najbardziej brakuje mi tego, że nie mogę założyć własnej rodziny. Ale nie jestem jeszcze na to gotowa”. „A kiedy będziesz gotowa do założenia rodziny?” „A dopiero wtedy, jak zdobędę Oscara” — odpowiada z rozbrajającą szczerością dwudziestoletnia nadzieja kina amerykańskiego.

Repr. Felicia Pereta

Łyk miodu

Maria Denys

PĘKATA, sznurowana fiaska zapowiada dobrą biesiadę. Zanim napelnimy gliniane czarki złocistym płynem, przyprawmy go szczyptą tradycji. Miody pitne smakowano od tak dawna, od kiedy pozyskiwanie i sycenie miodu znane było w ogóle. Słynęły z nich królewskie i klasztorne piwnice. Jednakowo grzały biesiadników przy dworskich i kmiecych stołach. Do połowy XVII wieku miody pitne uważano za napój pożywny i wielce trunkowy, póki go wina importowane z południowych krajów i rodzima gorzalka z piwem doszły prawie nie wyparły. Ostały się jednak miody pitne do dzisiaj na stołach smakoszy. Niewiele było krajów — poza Polską — które by tak wybornie sycić korzeniami i owocami miodu potrafiły. Ot, Niemcy, może i Węgry, a ponoć także i Szwecja. A u nas? Co wieś, to miodosytnia; co klasztor i dwór, to beczulki z miodem niezgorsze, a i recepturę niejednym ciężkim mieszkciem wówczas ceniono. Nie było to jednak, jak lubelskie, podlaskie, lwowskie, gdańskie miody! No i litewskie, z owym białym, kowieńskim „lipcem”, z lipowych miodów warzonym. Napój ten szczególnie lubiany był przez białogłowy, póki im się smak ku innemu, po czterokroć mocniejszym trunkom nie obrócił... Toczył się więc dawny czas niejedną beczką korzennych i owocowych półtoraków, dwójniaków, szóstaków nawet. Co nam zostało z niegdysiejszych miodów? Prawie wszystko.

Genuine Imported Polish Honey Wine

Ten „sakramentalny” zwrot na etykietkach polskich miodów pitnych, jak dotąd, nie został zdystansowany żadnym innym. Bo też i nikt, poza Polską, napoju takiego nie produkuje. Jesteśmy więc jedynymi miodowarami w „sile” około piętnastu producentów w kraju, w ramach zakładow przemysłu owocowo-warzywnego, zakładów winiarskich, wytwórni win i miodów pitnych, okręgowych i spółdzielni pszczelarskich itp. Zgodnie z tradycją, na nasze stoły warzone i sycone są więc trójniaki, dwójniaki oraz rzadkie, bo wymagające kilkuletniego leżakowania, półtoraki, m.in. „Ignacy” i „Nicolaus Copernicus” z Nidzickiej Wytwórni Win i Miodów Pitnych oraz półtorak „Lubelski” z Okręgowej Spółdzielni Pszczelarskiej w Lublinie. Z listy miodów — w najłepszych dla tego trunku czasów końca lat 70-tych — wyczytać można było 38 nazw, m.in. „Kamedulski”, „Klasztorny”, „Kasztański”, „Królewski”, „Jagielloński”, „Kmicic”, „Pani Twardowska”, „Jurand”, „Topórzyk Tenczyński”, „Millenium”, „Nobile Verbum”. Nazwy — jakby na potwierdzenie owej szczypty tradycji. W pewnym chicagowskim „Gene's Sausage Shop Liguor and Delicatessen” polskie miody pitne bywają w cenie rumu firmy „Baczeński”, 7—8 dolarów butelka.

Kto pamięta smak „Chochola”?

Kiedy przed 40 laty ruszyła produkcja Zakładów Przemysłu Owocowo-Warzywnego w Milejowie, nie zabrakło w niej także i miodu pitnego o nazwie „Chochol”. Kto go dziś jeszcze pamięta, ten pierwszy milejowski miód sprzed lat?

W miarę rozwoju produkcji winiarskiej zakłady rozszerzyły

asortyment miodów do oferowanych nam dzisiaj: korzennego „Litewskiego”, owocowych trójniaków „Wawela” i „Klasztornego”, znanych także i na cudzoziemskich stołach, oraz dwójniaków „Koronnego” i „Słonecznego”. Dobre to i poszukiwane miody markowe. Odnajdowane były kilkakrotnie medalami na międzynarodowych konkursach i wystawach, m. in. w Słonecznym Brzegu i Luksemburgu.

W ciągu roku Milejów produkował około 200—250 tys. litrów, nalewanych do nietypowych w rozmiarach i kształcie butelek z prawdziwymi korkami. Zostało ich jeszcze trochę w zapasie, podobnie, jak i złocistych etykietek. Niewielkim zresztą zapasie. Napisalam o tych wyrobach i opakowaniach nieco w czasie przeszłym. Ostatnio bowiem lata dla milejowskich miodów do latwych nie należały, m. in. z powodu trudności w zaopatrzeniu w owe nietypowe szkło, niezbyt chętnie produkowane przez huty jako krótkoseryjny, nieopłacalny asortyment. Zawodna przez pewien czas dla milejowskich miodów pitnych była także i podaż surowca — miodu naturalnego, a rosnące jego ceny nadal stawiać mogą pod znakiem zapytania opłacalność produkcji tych miodów.

Milejowskie „Wawele”, jak wiemy, są oryginalnie oplecio-



Fot. Arkadiusz Karon

ne jedwabnym sznurkiem z lakową pieczęcią. Wymaga to sporej zręczności od osób wykonujących tę końcową „kosmetykę” butelki. W ciągu ośmiu godzin pracy nie „okręci” się sznurkiem więcej niż 40 butelek. Zatrudnione przy tym pannie należą do cenniejszych i poszukiwanych kadry zakładu. Jest więc produkcja miodów pitnych — przy dużej, przemysłowej skali przetwórstwa owocowo-warzywnego w Milejowie — pracochłonna, ale i poniekąd marginalna, co nie znaczy, że zaniedbywana.

W milejowskich piwnicach dojrzewają już świąteczne miody. W grudniu około 15 tys. litrów tego napoju stanie na półkach sklepowych, a my w kolejce — oby nie za długiej — po nie.

„Kurpiowskie” miody z Lublina

Drugim producentem miodów pitnych w naszym regionie jest Okręgowa Spółdzielnia Pszczelarska w Lublinie. Kontynuuje ona dawną produkcję tych napojów, dając rocznie 350 tys. litrów miodów pitnych w trzech stopniach miodosytniczego wtałmniczenia: półtorak „Lubelski”, dwójniak „Kurpiowski” i trójniak „Piastowski”, „Bernardynski”, „Podczaszy” i „Stolnik”. Ponadto spółdzielnia „roz-

lewa” 2700 ton miodu naturalnego rocznie, produkuje miodowity na witaminizowanych sokach owocowych oraz 150 ton rocznie tzw. pszczeliej węzy.

Tak jak smakowo i wizualnie atrakcyjny jest milejowski „Wawel”, jego konkurent-półtorak „Lubelski” pochwalnie się może również oryginalnym, wiklinowym opakowaniem, które od lat wykonuje Spółdzielnia Wikliniarska w Rudniku nad Sannem. A miód ten zaiste do rarytasów należy! Ciemnobursztynowy, słodki, jeżynowym mioszczem sycony. Na tysiąc litrów wody „idzie” 136 kg naturalnego miodu. Zgodnie ze starą recepturą, napój ten jest alkoholizowany, przyprawiany korzeniami. Po 19 prawie latach leżakowania osiąga 17—18-procentową moc. Jak dobre hiszpańskie wino...

Dwójniaki i trójniaki sycone są natomiast tarniną, wędzonymi śliwkami, wiśnią i innymi owocami, przyprawiane ziołami krajowymi, a także włoską mieszanką ziołową „Torino”. Do fermentacji miodów wszystkich typów używa się specjalnych drożdży rasy m. in. tokaj, malaga, steinberg, przygotowywanych przez Instytut Fermentacji w Warszawie. Po trzech co najmniej latach leżakowania „Bernardyn”, „Podczaszy” i „Stolnik” zawierają 12—14 procent alkoholu, a dwójniak „Kurpiowski” 15—17 procent.

Korzystając z okazji, zaglądamy do spółdzielczej miodowej piwnicy. Oto stare, dębowe kufy i współczesne metalowe zbiorniki, różne urządzenia. Klimat dojrzewania dobrego miodu. Tajników warzenia, fermentacji, leżakowania, kupazu (ważnej fazy łączenia i mieszania przypraw z napojem) oraz rozlewania miodów uchyla nieco szef produkcji starszy mistrz Jadwiga Mioduchowska. Z zawodu jest chemikiem, pracuje na tym nietypowym, jak dla kobiet, stanowisku od 14 lat. Nie jest jednak „degustatorem” w dawnym pojęciu tej funkcji, aczkolwiek do niej należy ostatnie smakowe „słowo”. Pani Jadwiga opiera się na opinii laboratorium i kolegów z działu, którzy chętnie w tym „orzecznictwie” pomagają.

O smaku, aromacie, barwie i klarowności, także i mocy miodów pitnych decydują głównie parametry chemiczne oraz samolotne procesy zachodzące pomiędzy składnikami napoju. W dawnym „Składzie albo starobu sekretów oekonomii ziemskiej” (z 1693 roku), tak o miodzie pisało: „...dobrze wystąpi i klarowny, miednie korzeniami i ziołami zaprawiony, gdyż nie tak gwałtownie i żółdkowi szkodzi, owszem, posilny, czółwieka syci i zdrowie utwierdza, miednie zatywany”. I tę zasadę poleca także pani Jadwiga, rozumiejąc również konieczność godziwego, niekiedy dogładania piwnic, jak w niegdysiejszym miodowarskim zwyczaju bywało.

Okręgowa Spółdzielnia Pszczelarska w Lublinie widzi w przyszłości możliwość podwojenia a nawet potrojenia produkcji miodów pitnych. Zwiększyć się zatem może zaopatrzenie firmowych sklepów i miodosytni spółdzielni w Lublinie, Warszawie, Białymstoku i Krasnymstawie. Pewna w tym nadzieja na własną, może „starmiejską”, miodosytnię w Lublinie. Jak dotąd, nie udało się takiego lokaliku wygospodarować; jest tylko sklep. Kawiarnie, owszem, serwują miody pitne, ale jak mówią smakosze, to jeszcze nie „to”. Na razie spróbujmy w domowym zaciszu lyknać medalowych miodów „Kurpiowskiego” i „Piastowskiego”, które z XXX Światowego Kongresu Pszczelarzy w Japonii, przywoziły złoty medal.

kamena 7

W XVII—XVIII wieku w środowisku magnackim życie erotyczne dalekie było od wzorowości, a męzowska miłość czerpała najczęściej czułości z posagowej sumy małżonki. Wojewoda poznański Krzysztof Opaliński w satyrze „Na zepsowane białogłowskiego stanu obyczaje” tak pisał na ten temat:

A czemuż swoją żonę ten a ten pan chwali?
Wniośła w dom sto tysięcy, dlatego poczęła.
Dlatego bogobojną i wstydlivą zowie.
Posag przyniesie enotę i towarę, i wszystko.
Byłe pieniądze miała, niech się z gachy liże
I przy małżonku samym, nie to nie zawadzi.

Jurny wróbel z czarną łaską
Upędał się za dziewczynką.
I słowił się do niej pałki.
A chcąc rywalów odsadzić.
Czułość swoją przed nią chwalił.
„Nigdy nie znam, co to zdradzić.
Zawszem jest dla ciebie stały.
Te ci pienia będę nucił.
Które bogów zachwycaty.
I wszystkie siły będę na to tożyl”.
„A ja — rzekł wróbel — będę cię chędożył”.
I zaraz spór rozsądzony.
Wróbelowi kazano zostać.
Słowił z głosem odpędzony.
Odtąd kobiet naszych postać.
Tej czwórce sekundowali swoimi tekścikami inni.

kochance mocno zaawansowanego w latach Antoniego Rybińskiego, który pojął ją wbrew woli syna. Biskup troskliwie czuwał nad wszystkimi sprawami pani Magdaleny. Przebudował niezbyt oddległą od Warszawy posiadłość Rybińskiej, gdzie spędzał każdą wolną chwilę. Zabiegał też o łaski i zaszczyty dla męża swej kochanki. Za protekcją Naruszewicza Antoni Rybiński został kasztelanem owruckim, a więc senatorem.

Prawdę, acz żalosną i gorzką o życiu obyczajowym dworu Stanisława Augusta Poniatowskiego i ówczesnych sfer magnackich znakomicie oddał

W krainie staropolskiego Kupidyna

Adam Andrzej Witusik

Niedopełnienie powinności seksualnych traktowano wówczas jako rzecz niebywałą. Znamienny jest opis pierwszego spotkania króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego z arcyksiężną Eleonorą Marią Józefą Austriaczką w klasztorze paulinów na Jasnej Górze, gdzie odbył się ich ślub. Król zachowywał się tam chłodno, unikał intymnych kontaktów, co bardzo zmartwiło matkę panny młodej. Miała rzec o swym zięciu: „Uważam go za wymówionego, jeżeli przez wzgląd na świętość miejsca hamował wyraz swej miłości”. Skompromitowanie się w łóżnicy podczas paryskich swawoli wypominał też ordynatowi Janowi „Sobiepanowi” Zamoyskiemu jego przyjaciel, książę Bogusław Radziwiłł. Pisał w jednym z listów: „Dałby to Pan Bóg, żebyś mnie WMć rektorem w swej uczynił Akademii; czytałbym WMci memu Kochanemu Bratu takie lekcje, że byś wkrótce świętobliwego sługę in meditationibus fututoris [w praktykach wszechuczynnych] przeszedł, byle przyrodzenie w piernatkach WMci służyło lepiej niż na strychu paryskim”.

Powszechnie uważano, iż najważniejszą w miłości jest jej strona fizyczna. Król Jan III Sobieski w liście do żony, ukochanej Marysieńki, tak między innymi wspominał spędzoną z nią jedną z upojonych nocy: „Jakoś mię Wć moje serce puścić nie chciała, jakoś prosiła, żebym nie odchodził, jakoś mnie na swoją cięgnęła pościel (dość łóżko wąskie, ciasne, co z wielkim Wci serca mego musiało być niewczasem, a przecie to tam było miło i zdało się przestronno)”. A w innym stwierdzał: „[Wzięty do niewoli Kalmuk Astrakan] na wszystkich les plus fines [najsubtelniejszych] niecnostach się zna... Jest to takie nic dobrego, że tego wypisać niepodobna. Przeszedł hultaj wszystkich w amorowych sztukach, i Francuzów, i Włochów, i Hiszpanów, i Turków... Powiada, że uczynić też rzecz umie dwunastu postur różnych, czego się u Kalmuków nauczył... Pokazywał kilka i widzę, że są cale pratiquables [praktyczne, wygodne] Il sait encore 1000 secrets [zna jeszcze 1000 sekretów]. Powiada, że kiedy cousine zimna, to trzeba przynieść węgla, pokropić to i trawą przykryć, aby na tym usiadła ta, która ma zimna, et l'homme son borgne [a mężczyzna swego jednookiego] aby rozegrzał tak nad ogniem i nasmarował go szpikiem z nóg baranich; tedy ma być niesłychanie dobrze. Enfin il a dit [w końcu powiedział], że z tej jednej potrawy uczynić może mille assaisonnement [tysiąc smaków]... Odtóż tobie, moja panno, na dobranoc, abys miała o czym myśleć, czego się uczyć, na co się gotować i ze swojej też wymyślić co nowego strony, kiedy mnie Pan Bóg zdrowo do serca twego przywiedzie”.

Wiek XVIII przyniósł jeszcze rozluźnienie obyczajów. Odnosi się to zwłaszcza do dworu królewskiego i środowisk magnackich. Dla ilustracji czerzy swawolne erotyki ówczesnych mistrzów.

Ignacy Krasicki, biskup warmiński:

Śniło mi się, że mam wóz, a to mara broi,
Budzę się, wozu nie ma, tylko dyszel stoi.

Stanisław Trembecki, poeta nadworny króla Stanisława Augusta Poniatowskiego:

Przystęp do tego rozkoszy ogrodu
Ciasny był, lecz on zrzucił się zawijając.
Podwazał drągiem furtkę moją z przodu.
Jam rozumiała, że mnie na pal wbiła.
Ciężko wyrazić krzyk, strach i ból srogi.
Skakało serce, trzęsła się kotara.
Tu mi zemdlało gdy rozłoczył nogi.
Wetknął i ze łbem wielkiego Tudara.
Jak tylko ukradł się w mój szczupły zakątek.
Ból ustał, lubość zmystu me posiadała.
Tam to poznałam rozkoszy poczętek.
Ledwo się dusza z ciała nie wykradała.

Kajetan Węgierski, szambelan JKMc:

Moja matuś, był tu Maciek i dał mi coś w nocy.
Było krótkie, młecusienkie i bez żadnej mocy.
Skorom tylko w rękę wzięła, tak się zaraz wznoto.
Ze w dom by się nie zmieszcilo, gdyby przez noc rośło.

Adam Naruszewicz, biskup łucki, uczestnik obiadów czwartkowych króla Stanisława Augusta Poniatowskiego:

A z życia. Pierwszym kochankiem pani na Puławach, żony księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego, Izabeli, był król Stanisław August Poniatowski. Gdy w 1768 r. przyszła na świat córka książąt Czartoryskich, Maria, vox populi z całym przekonaniem wskazał monarchę jako ojca dziewczynki. Romans pan na Puławach z królem nie trwał długo. Wnet księżna zyskała nowego wielbiciela, którym był ambasador carowej Katarzyny II w Warszawie, książę Mikołaj Wasiljewicz Repnin. Wpływowemu Repninowi oddała się księżna za wiedzą, a może nawet zachętą męża i rodziny. Krążyły plotki, które dziś zamieniły się prawie w pewność, że książę Adam Jerzy Czartoryski był właśnie synem Repnina. Trzecim kochankiem księżnej Izabeli był Francuz Armand Louis de Biron, diuk de Lauzun, cieszący się sławą największego uwodziciela dworu wersalskiego. Ponieważ księżna Czartoryska nie żyła z mężem od chwili oddania się Armandowi była pewna, iż on jest ojcem spodziewanego dziecka i początkowo planowała, że po urodzeniu przekaże je ukochanemu jako „rękojme żarliwej miłości”. Diuk de Lauzun nie wypierał się ojcostwa i — jak zapewnia w swych pamiętnikach — znajdował się nawet w apartamentach Czartoryskiej ukryty w wielkiej szafie, podczas porodu przez Izabelę syna Konstantego. Mąż pani na Puławach, Adam Kazimierz Czartoryski, zgodził się jednak uznać przyszłe na świat dziecko za swoje pod warunkiem, że Izabela nie będzie widywać amanta.

Bohaterem głośnego romansu był również biskup łucki Adam Naruszewicz. Przez przeszło dwadzieścia lat utrzymywał on związek miłosny „z tłustą, białą, czerwona i wesolą” Magdaleną z Esymontów (primo voto Jezierską, secundo voto Rybińską). Poznał ją w 1775 r., prowadząc agitację polityczną jako wysłannik królewski. Sprawa romansu była szeroko znana. W jednym z wierszy ulotnych wyrzucano między innymi uczonemu biskupowi:

Wstyd poecie w filolecie
W cudzej kochać się żonie.

Gdy zmarł Jezierski, kochankowie postanowili, iż ze względu na opinię lepiej będzie jeśli Magdalena wyjdzie powtórnie za mąż. Naruszewicz znalazł

w swym wierszu „Szczęście” polski jakobin Jan Czyż:

Korzeń tegi wodowie dany
Robi losy, czyni pany,
Kto się czuje — siedź w Warszawie,
W senatorskiej będziesz ławie.
[...]

Stangret, hajduk, lokaj miły,
Gdy w korzeniu ma dość siły,
Będiesz on pan i starosta,
Jak swej pani piczę schłosta.
O Warszawie! W zwyczaj rzadka
Zbierać każesz szczęście z zadka.

Przytoczmy na koniec fragment niezwykle interesującego listu, który pojawił się w XVIII stuleciu w różnych odmianach i przeróbkach, zawierającego usprawiedliwienie ziemskiej miłości księdza. Zakochany duchowny pełen rozterki miał pisać do matki: „Chyba mnie winnym, moja kochana matko, sądzić będziesz, że tak wielki pożar do serca przypuścił: ale jakże się mogło temu bronić przestępku, którego wrzód uczulem, niżelimi widział... Trudno sercu zabronić, aby pięknego pragnąć nie miało... Ani ja się stąd niestawę boję, że kochał, duchownym będąc. Prawda, że księdzem, ale i człowiekiem: i lubo umarły, bo czarną na sobie suknię noszę, mam jednak w sobie żywe serce, które rozumie, że jest w człowieku, nie w księdzu. Wiem, że nie tak mnie, jak innymi przystoi miłość — ale mi tak jest jako i innym wrodzona: nie rozumie, kto rozumie, że suknia duchowna naturę ludzką wstrzymać może... Gwałtowny jest postać miłości, któremu ni żołnierz orężem, ni ksiądz brewijarzem, ani siwy starzec swoim siwym włosem zarzucić nie może. Wszak i anioł, wzięwszy na się postać ludzką, bał się od białychgłów upałów i dlatego z nimi nie z bliska, ale z daleka konwersował — nawet suknię śnieżną wziął na się, aby się śniegiem od ognia zbroił... Jeśli się dziwują, że piękna kochał, dopiero by się dziwowali, że tak pięknego i ku sobie skłonnego nie kochał stworzenia W żadnym takowej święconej wody nie znajduje się kościół, która by zapal zalać i ugasić miłość w ludziach miała”.



Ry: T. Tarłowski

Okolice sztuki

Kompleks Wenecji

W SOBOTĘ, 23 listopada, o godz. 11.40 w programie I telewizji zobaczyłem sympatyczną panią dziennikarkę i znajomego krytyka sztuki, którego znam od lat i cennie. Oboje wystąpili w sprawie „Wenecji w Reszlu” i całkiem zrezygnowali, że rozmawiają z sobą, gdy po prawdzie stanowili dwuosobowe lobby na rzecz galerii w gotyckim zamku, znajdującym się w uroczym pejzażu warmińskiego miasteczka. Na początku rozczuliłem się, bo wątek ów przypominał mi lata młodości jurniejszej o 13 lat od obecnej, kiedy to w uniesieniu popierałem powstałą wtedy w Chełmie „Galerię 72”, otwartą przeciwieństwie w mieście kresowym, stosunkowo niewielkim, w swojej skromnej tradycji artystycznej mieszczącym jedynie postać Zenona Waśniewskiego, zresztą współzałożyciela „Kameny”. Ale szybko mi przeszło.

Otóż interlokutorzy dowodzili, że Reszle jest idealnym miejscem na galerię sztuki współczesnej, zupełnie up to day, twórczości ograniczonej wszakże wyłącznie do tych polskich zestawów, które prezentowane były lub będą na Biennale w Wenecji. Pani zapytała, czy pomysł ten miał precedensy w

świecie, krytyk odparł, że skądże znowu, inicjatywa ma charakter pionierski w ogóle, no i poza tym trudno dziś dokładnie ustalić, czy jej autorem jest człowiek jeden, czy też dwóch ludzi.

Potem pokazano nam wnętrza galerii: rozległe, piękne, dokładnie wypełnione obrazami F. oraz rzeźbami B., czyli małżeństwa, które m.in. reprezentowało naszą sztukę na ubiegłorocznej imprezie w Wenecji. Sytuację komentował sam F., w duchu oczywiście życzliwym dla całego przedsięwzięcia, co wydaje się tak samo zrozumiałe, jak to, że na pomysł eksponowania w Reszlu twórczości polskiej ze stemplem weneckim nie wpadli w Maroku czy Peru.

Chwilę później na ekranie pojawiła się jeszcze jedna pani, bodaj kurator na etacie Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, któremu podlega zamek w Reszlu. Oznaczywszy sprawę refleksją historyczno-kulturową nad współczesną kontynuacją dawnego mecenatu panów fortecy, oznajmiła, że mieszkańcy małego miasteczka też będą czy nawet już odwiedzają wystawę, a poza tym turyści, tysiące turystów... Rozmieszyła mnie ta wzmianka o estetycznej pasji reszlan, jako że w

tej materii mam spore rozeznanie, niestety — niezbyt optymistyczne, ale niech tam od czegoś trzeba przecież zacząć i może za lat 20, jak przypuszczalnie w Chełmie, miejscowi rozdepczą zamek z miłości do sztuki.

Z uwagą natomiast przyjąłem inne stwierdzenie pani kurator, która wspomniawszy, że do galerii trafią też obrazy trzeciego naszego przedstawiciela w Wenecji 84, zaczęła mówić o trudnościach finansowych, związanych z pozyskaniem prac czwartej osoby, wystawiającej na wspomnianym Biennale. Czyli to całe dobrodziejstwo ma być kupione?

Znak zapytania postawiłem dlatego, ponieważ kto wie, może nie uchwyciłem wszystkich wątków rozmów, które przeprowadzono w telewizorze. Dla porządku dodam wszakże, że wycena prac z obecnej ekspozycji zaprowadziłaby nas w tzw. rejony schabowe, sięgające kilkunastu milionów, a może, jak twierdzą niektórzy, jeszcze wyżej. A dla porównania przypomnę, że w krakowskiej „Desie” obraz Vlastimila Hofmana kosztuje 600 000 zł, Wojciecha Kossaka — 350 000, Aleksandra Gierzyńskiego szkic do płótna „Anioł Pański” — 3 000 000, „Lot z córkami” szesnastowiecznego Georga Pencza, ucznia i współpracownika Albrechta Dürera — 12 000 000, czyli sumę rekordową. Natomiast dzieło nestora naszej awangardy konstruktywistycznej wyceniono na 300 000 zł. Inny żyjący malarz, nie tak przecież celebrowany jak Henryk Stażewski, zażądał niedawno w Warszawie za płótno 4 000 000 zł, nie to, że bezskutecznie. Artyści zaczynają przeliczać obrazy na samochody, telewizory kolorowe i magnetowidy, do-

chodząc do wniosku, że mają prawo do wysokich gratyfikacji, bo przedmiotem ulegają z czasem dekapitalizacji, a dzieła sztuki przeciwnie, nie mówiąc o przyjemnościach płynących z posiadania mercedesa w ogóle i za obraz w szczególności. Niech tam, od czegoś trzeba przecież zacząć, a poza tym mamy krzyż po polsku, czyli coś o profilu nieznanym dotąd w dziejach cywilizacji euroatlantyckiej.

Kuriozalne wydaje mi się coś innego: sam fakt utworzenia galerii dzieł sztuki polskiej, eksponowanych — uprzednio w Wenecji — jakby tylko tam, za granicą, dochodziło do faktycznej nobilitacji naszej kultury artystycznej, której sami, ciemna i plebejska masa, nie jesteśmy w stanie docenić. Żalona to i niestety stara praktyka, rozcieńczająca tożsamość naszej osobowości kulturowej.

No cóż, i ludzie dorodzi, rozsądni miewają chwile słabości. Sam niedawno, miast do domu, pojechałem do Kielc, jakby wiedziony tajemną siłą, która poprowadziła mnie następnie na wystawę malarstwa Krzysztofa Jakubowskiego w tamtejszym BWA, gdzie zobaczyłem m.in. obraz z trzema klasykami w roli burlaków, zaprzęgniętych do kupy Historii. Ten odważny artysta, myślę dzisiaj, mógłby awansować do rangi prawdziwego gieroja świętokrzyskiego, gdyby tak od ręki, z właściwym sobie, tegim poczuciem humoru namalował np. biskupa, który z południa Europy ciągnie do Reszla wóz drabinasty z artystyczną ekipą polskich weneccjan. Będę zabiegał, by dzieło wyceniono w dolarach. Mam dobre presentimento.

IJK

Ekran i widz

Opowieść wigilijna à la Spielberg

CHOIAŻ reżyserem amerykańskiego filmu „Gremliny rozrabiają” jest Joe Dante, autorem scenariusza Chris Columbus, zaś ich rówieśnik, Steven Spielberg, firmował opowieść o gremlinach tylko jako producent, wyraźnie czuje się tutaj wpływ jego osobowości artystycznej. Można powiedzieć, że „Gremliny” są przykładem spielbergowskiego „stylu”, czy nawet więcej: jego „szkoły”. Podobnie jak w przypadku powstałego dwa lata wcześniej, w 1984 r., „Ducha” („Poltergeist”) Tobe Hoopera; tam zresztą współscenarzystą był Spielberg, który także film ów finansował.

Jest w „Gremlinach” charakterystyczny dla Spielberga jakiś nieuchwytny, nostalgiczny nastrój, akcja dzieje się, jak zwykle u niego, na amerykańskiej prowincji, w średniozamożnej rodzinie, bohaterami filmu są dzieci. Dzieci — koegzystujące zazwyczaj u Spielberga z zabawkami. Często — miłymi, choć pokracznymi; innym razem — groźnymi i okrutnymi; jeszcze kiedy indziej — będącymi łącznikiem pomiędzy dzieckiem (człowiekiem) a sprawami nadprzyrodzonymi, tajemnicą ludzkiego bytu, nieodgadnioną głębią Kosmosu.

Spielbergowskie „zabawki” niekoniecznie muszą być przedmiotami żyjącymi tylko w dziecięcej wyobraźni; często są twórcami żywymi, rozumnymi, a posiadają jedynie „formę” zabawek lub dziwnych stworków. Tak było, na przykład, w wypadku zabawnego, pokracznego E.T., przybysza z kosmosu i tak jest w filmie Joe Dantego, w którym występują puszyste — przypominające trochę pekińczyka, a trochę małą malpkę — mogwale i, wyrastające z nich, krwiożercze, nietoperzowate — gremliny. Mogwai — według Dantego (i według Spielberga) — to dobro, które napotykały na swojej drodze żylowe; dobro, które łatwo może się przekształcić w zło, jeśli nie dorośliśmy do zrozumienia tajemnicy dobra, jeśli nie potrafimy się z dobrem, we właściwy sposób, obchodzić.

Amerykańscy lotnicy walczący w czasie II wojny światowej na Dalekim Wschodzie wierzyli, że Japończycy nazyli na nich małe, złośliwe chochli-

ki, które dostają się do silników samolotów, powodując awarie w czasie bojowych lotów. Te chochliki nazywali „gremlinami”. Zaskoczyła gdzieś opowieść o tamtych „wojennych” japońskich gremlinach stała się dla Chrisa Columbusa impulsem do napisania scenariusza filmowego. U niego jednak gremliny przeniosły się — w kilkadziesiąt lat po wojnie — z wysp Morza Japońskiego do Stanów Zjednoczonych, aby objawić się — w całej okazałości i całym swoim okrucieństwie — w małym miasteczku Kingston Falls, w wigilię Bożego Narodzenia. W jaki sposób to się stało i co się później działo — opowiada Joe Dante w filmie „Gremliny rozrabiają”.

Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem ojciec bohatera filmu, kilkunastoletniego Billy'ego Peltzera, kupuje mu w biednym, zakurczonym chińskim sklepie, w odległym od Kingston Falls wielkim amerykańskim mieście, dziwny prezent gwiazdkowy: odkrytego przypadkiem w starej szkatułce stojącej gdzieś w kącie, małego puszystego stworzka o ciepłym, mądrym spojrzeniu. Z posiadaniem mogwaia zwią-

zane są trzy kategoryczne zakazy: nie wolno wystawiać go na ostre światło, ma się go strzec przed polaniem wodą, pod żadnym pozorem nie wolno go karmić po północy (choćby o to błagał ze wszystkich sił). „Zakazy” jakby wyjęte żywcem z jakiejś znanej nam dobrej baśni. Ale jakiej...?

„Baśniowość” akcji, rozwijającej się coraz bardziej w znajomy nam z dawnych, dzieciennych lat sposób, staje się dla widza coraz bardziej męcząca. Skąd my to znamy? Oto małe miasteczko przysypane śnieżym, puszystym śniegiem, w domach i na ulicach stoją choinki rozświetlone kolorowymi lampkami, ziemie skul słońce, ludzie przygotowują się do wigilijnej wczeczki, ale — choć zapadł już wczesny zmrok — praca w sklepach, urzędach i bankach jeszcze nie ustąpiła, jeszcze czynne są ostatnie bary... Billy Peltzer, chłopiec obdarowany przez ojca mogwajem, pracuje w banku; prześladowany tam niedobry, przypominający złą wróżkę, pani Deagle. Ale Billy, tym razem, znosi jej złośliwości z filozoficznym spokojem, bo cieszy się bardzo spotkaniem, na które

zgodziła się przyjąć sliczna Kate, zawsze taka smutna, bo jest sierotą...

Mród wzrasta, pustoszeje coraz bardziej ulice miasteczka. Tymczasem... Tymczasem od wczoraj dzieje się coś niedobrego: mogwai, przypadkowo polany wodą, „wypączkował” w cztery następne, mniej już od niego dobrotliwe mogwaie, a te — przestawiwszy wskazówki zegarka — zmyliły czujność Billy'ego: dostały jeść po północy! I oto teraz, w dzień wigilijny, pod nieobecność domowników, te cztery nowe mogwaie przeistoczyły się w wielkie, oślizgłe „kokony”. Wkrótce „kokony” dojrzeją, wydobędą się z nich liczne, wstrętne — przypominające nietoperza skrzyżowanego z jaszczurką — krwiożercze bestie atakujące ludzi... Atmosfera filmowej opowieści zagęszcza się coraz bardziej. Jak w złym śnie, jak w przerażającej baśni... Skąd my to znamy?!

Zmasowany atak gremlinów na usypiające w noc wigilijną miasteczko, „dantejskie” sceny rozgrywane się w domach i na ulicach Kingston Falls, jeżdzące wlosy na głowie sceny walki ludzi z napastnikami oraz walka Billy'ego i Kate z gremlinami, które — oczywiście, jak wynika z kanonów baśni, muszą w końcu, po ciężkich zmaganiach, zostać pokonane — to główna część filmu Joe Dantego.

Nie chodzi mi jednak tutaj o opisywanie, jak przebiegała owa walka, i co się stało dalej. Musimy tylko zajrzeć do miejscowego kina, gdzie gremliny — przerwawszy na chwilę atak na mieszkańców Kingston Falls — puściły sobie film Walta Disneya „Królewna Śnieżka” i bawią się doskonale, oglądając historię Śnieżki, złej Królowej-Macochy oraz Siedmiu Krasnoludków.

I teraz, nareszcie, „jesteśmy u siebie”. Tak, to atmosfera pięknych, niezwykłych, ale i okrutnych nierzadko baśni braci Grimm towarzyszyła nam od samego początku filmu! Baśni, głęboko przeżytych tak dawno temu, w dzieciństwie: tego całego dziwnego świata wypełnionego Dobrem i Złem, wciąż ocierających się o siebie, wciąż ze sobą walczących. Tego świata dawno — wydawałoby się — zapomnianego, a jednak żyjącego wciąż, w jakimś zapadłym, zakurczonym kącie naszych serc.

„Dziecinny”, wyjęty ze stronic książki braci Grimm, z baśni Andersena, z baśni naszych babek i prababek, świat Spielberga, Dantego, Chrisa Columbusa, jest także światem naszym, ludzi dorosłych. Tylko, że przypominamy sobie o tym rzadko. Niektórzy dopiero wtedy, gdy w domu zapachnie choinka.

M. D.



Skrzydłata giełda

Henryk Więclawski

„DZISIAJ gołębie, panie, to są umysłowe. Tak jak urzędnik, czy sędzi, czy łazi, swoje weźmie. One tak samo. Po co im latać?” — usłyszałem.

Od wczesnych godzin rannych każdej soboty zapelnia się mały placik u stóp zamkowej góry. Na tej giełdzie nie ma ciecia i nikt nie płaci wstępnie. Nikt jej nie sponsoruje i nikt nie musi jej animować. Wyrosła poniekąd sama. Z naturalnej potrzeby. Na obrzeżu Alei Tysiąclecia parkuje długi rząd samochodów różnej maści. Prymy brudnego, rozjeżdżonego śniegu leżą przy krawężnikach. Niektóre samochody wjeżdżają między nagie drzewa. Przeważają rejestracje lubelskie, ale widzę także chełmskie i zamojskie. Z kołskim prychaniem wataczą się furmanki. „Tutaj, Józek. Przy samej ulicy. Wio!” W chwilę potem zajeżdżają najliczniej reprezentowane tu rowery. Mężczyźni pchają ciężko swoje wehikuły w roztopianym błoku. „Masz tu, Krzysiek, stówkę. Będziesz miał oko na pojazd”. Właściciele zdejmują siatki z bagażników. Rozlega się niespokojne gruchanie. „No, małeńkie, szal”. Adam w rozpiętym wiejskim kozuchu zaklepuje ręce. Patrzy w białe słońce, ledwo widoczne za cienką warstwą chmur. Po chwili spluwa na twardą ziemię. „Czuje, że dzisiaj będzie goło. Nawet Mańka z Farbiarskiej jeszcze nie ma”. Ale w tym się pomyli. Kupców bowiem przybywa. Przybywają także ptaki; w kartonowych pudełkach i filenowych klatkach z metalu, w drewnianych skrzynkach i jutowych workach, w zwykłych koszach i pojemnym bagażniku wołgi, a nawet gnęźdzą się w porzuconej przez budowlańców ebonitowej rurze. „Nie masz pan szacunku dla ptaka. W kieszeniach je pan przyniosłeś?”. „Pilnuj pan swego nosa. Lepiej im tu niż w pańskim pudle. Ptak lubi ciepło”. Gruby Witek

tryska humorem: „W Falenicy kupiłem w czwartek samkę olbrzymia. Trzeba było ją widzieć, piękny brąz, kawa z mlekiem. Tutaj takiego nie ujrzyś”. „A tam, Falenica! — macha ręką Stefan. — W Radomiu to są ptaki. I o połowę taniej niż tutaj”. „To po co pan tu stoisz?”. „Každy chce zarobić. Co będę się z nimi tryndał przez pół Polskil”.

Placyk stanowi jakby naturalne tło tej giełdy. Nierówności terenu i rzadkie, chude drzewa, nad którymi odbijają się próbne loty. Ożywają późniejszą gałęzią, a właściciele spędzają ptaki grudkami ziemi. Wybór towaru ogromny. Różne kolory i różne rasy: carryery, czyli pocztowe, o klasycznej sylwetce, gładkim upierzeniu, jednolitej barwy; perukarze, z finezyjną grzywką na czubku głowy i tęczywymi piórami na podgardlu; dragony, smoki albo olbrzymy, dorodne, ciężkie ptaki z plamkami na skrzydłach; kuraki, z charakterystyczną naroślą na dziobie; mewki o podługowatych piórach nakrapianych ciemno i pawiki. Ceny jak w prawdziwym dobrobycie, adekwatne do możliwości każdej kieszeni. Od „stówki” za „zduszonego”, co to nie wiadomo, czy wyżyje, do trzech tysięcy za samczkę pawika, pięknego gołębia z rozcapierzoną talią piór na ogonie. Z maści najkosztowniejsze są białe. Może dlatego, że noszą w sobie rangę symbolu.

„Na tę samczkę nie pan nie mów. Oczko u niej czerwone i brewka piękna jest”.

Przy zakupie trzeba ptaka obmacać, zważyć w dłoni i rozchylić pióra. Tylko nerwowe skrzydła głowy świadczą o ptasiej irytacji. I garłaczce wydają krótki chrapiący rechot. Wielu handlarzy tworzy jakby rodzinę. Witają się teraz cmokaniem po policzkach i mocnym uściskiem dło-

ni. Starzy gołębiarze wspominają stare dzieje i niezwykle przygody swoich ulubieńców: „I wtedy ten czarny przysiadł, a on na niego z siatką. Łap i już go ma. Upał był wtedy niemożliwy...”

Pan Marian otwiera butelkę „lubelskiego” ulamany kozikiem. Wydatny nos ma fioletowy odcień. Gulgoce żółty płyn. Obok grupka wyrostków komentuje właściwości persów: „Jeśli pers lata godzinę lub półtorej, to nie pers. Musi trzy albo cztery”. Na sąsiedniej furmance leje się z termosu mocniejszy trunk. Trzeba się rozgrzać. Między handlarzami kręca się i dzieci. Słuchają i popatrują. Gwarantują ciągłość tradycji. Pan Wacław ma najpiękniejszy wąs na całej giełdzie. Czerstwa, rumiana twarz. „Chodź pan, zobaczysz pan mewkę ekstra”. Po chwili dudni grubym śmiechem. „To nie mewka, to dragon”.

Ceny podaje się półszepem. Nie wiem, czy ze świadomości niepełnego zalegalizowania tej giełdy, czy z kupieckiego wyrachowania. „Dawaj pan przedź ten szmal, bo już spadam”. Rudy chłopak grzebie nerwowo w kieszeni wojskowej kurtki. „Mirek, pożycz pięćdziesiątka. Do jutra”. Nad targowiskiem wciąż trwa dostojne gruchanie, ale głosy handlujących nabierają mocy. Punkty żywieniowo-wzmacniające funkcjonują coraz sprawniej. Dzień nabiera światła, mimo iż zaczyna prószyć drobny śnieg.

„Panie, co tam dają, że tak się ludzie tłoczą?” — pyta mnie kierowca przejeżdżającego obok autobusu.

Teraz nadchodzi tutaj i rodziny. W drodze na spacer przystają, by popatrzeć. Kobiety zaglądają tu rzadko i tylko w towarzystwie. To męski świat. W miarę rozkręcania się giełdy coraz mocniejsze słowa pieczętują dobiecie targu. Czasami wybucha głośnie sprzeczka. Ale do rozrób nie dochodzi. To psuje handel i odstrasza klientów. Sam światek hobbistów dba o zachowanie form.

„Czy dziadek ma dziś coś ciekawego?”

„Nie. Dziadek dzisiaj goły. Przyszedł tylko popatrzeć”.

„Ja też, Czesiu, mam to do siebie, że tylko stoję i patrzę. Niech inni mówią”.

Poszukuje się samców do posiadanych samicek i odwrotnie. I ptaków różnej maści do krzyżówek. „Najlepiej skrzyżować ją z karmazynem albo z tym dropiatym”. Na guzikach od palta wiszą metalowe obrączki, jak wianuszki drobnych grzybów. Wiele ptaków jest już oznaczonych. Znawcy odczytują wtedy wiek i region kraju, z którego gołąb pochodzi. Nielubelskie

ptaki mają szczególne powodzenie. Zdarzają się też „zagraniczniki”. Najczęściej od naszych wschodnich sąsiadów. Aż dziw bierze, że są jeszcze ludzie jeżdżący na wycieczkę, by przywieźć z niej gołębie. Taka jest siła tej pasji.

„Panie Tadzio, długo już pan hoduje?”

„O, od małego. Ojciec hodował i jeszcze dziadek. Od małeńkości brał mnie stary do gołębnika. Siadaliśmy na rozgrzanej papie dachu, a on popijał piwko i opowiadał. Czasami podnosił się tylko, żeby wyrzucić ptaka w górę. Patrzyliśmy potem w niebo, jak „chodzą”. Wtedy nie było telewizji”.

Pan Edzio przysiadł na pniaku drzewa, odwinąłszy polity długiego, brązowego płaszcza. „Panie, te ptaki mają styl. Hoduje, bo lubię. U nas, na starej Kalinie, każdy hodował. Tak trzeba było”.

Gołębiarze zajmują centrum placu i wokół ich towaru panuje największy tłok. Nikt nie ma wątpliwości, kto tu gospodarzy. Czasami tylko przemyka w tym tłoku przybysz, który pomylił adresy. Kłuje w oczy małym telewizorkiem turystycznym. Inny chłopak, w pewexowskiej kurtce wachluje się niedbalą płytą Eltona Johna. Zbyt jednak nie znajdują. To miejsce dla pasjonatów. Interesują ich tylko gołębie. Za to handlarze dziedzin pokrewnych otrzymują aprobatę. Uwiązane do metalowego plotu naszczekują czworonogi. Są wielkie wilczury w kagańcach i zwykłe podwózkowe kundlie; małe wilczki w ceratowych torbach i domowe pieski dla dzieci w miękkim wysłanym koszyczkach. Są i papużki w zgrabnych, drewnianych klatkach i trelujące słowiki, a tuż obok króliki o puszystej sierści i cenne nutrie na wychów i futro w perspektywie. Mniej tu jednak chętnych do ubicia targu.

Krótki, wczesnozimowy dzień szybko osiąga apogeum. Zrobiło się ciepło i przestał padać śnieg. Ale z giełdy zaczyna się powolny odpływ.

„W tych ptakach coś jest, panie. Ma się coś, kolo czego można pochodzić. Coś żywego. Co byś pan chciał, żeby tylko praca i dom. Inni mają pieski albo znaczki. Niech pan ich pyta dlaczego. W tych ptakach coś jest. Do zobaczenia w sobotę. Rzadko tu coś kupię. Ale jestem tu zawsze”.

W mieście coraz więcej wysokich bloków. A na ich dachach nie ma już prostokątnych budek, przykrytych cienką, drucianą siatką. I nie krążą nad nimi drobne, śmiałe ptaki.

Pewien element miejskiego folkloru wywędrował na dalekie przedmieścia.

Szlachetne zdrowie

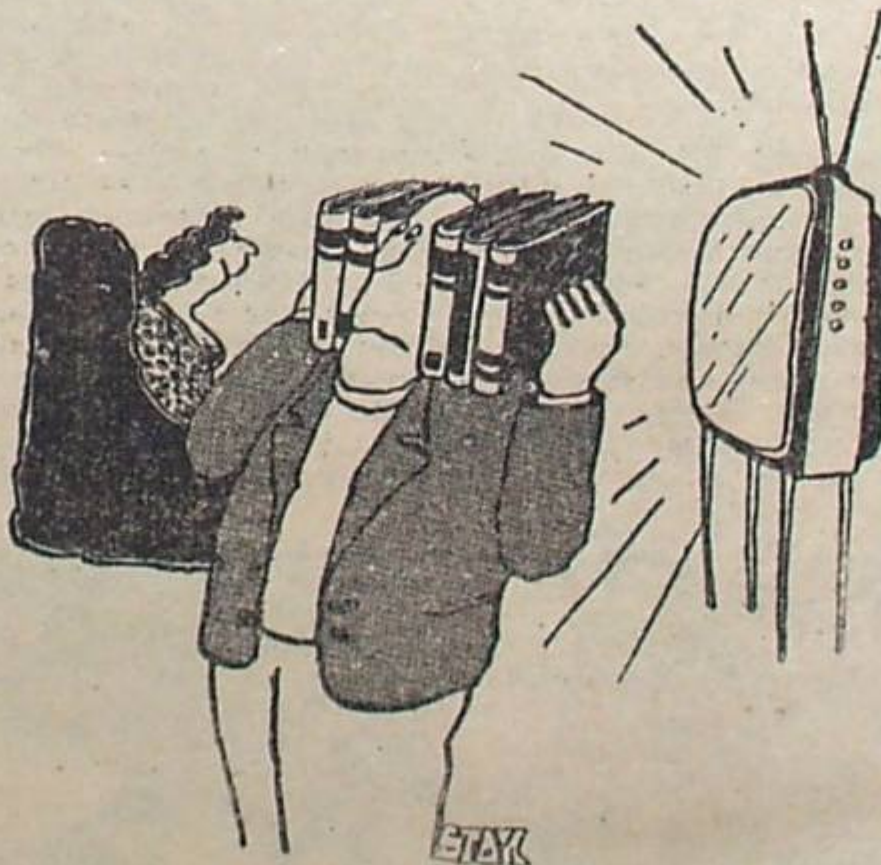
Niedźwiedzia przysługa

JEDNĄ z najbardziej ruchliwych części ciała ludzkiego jest ręka, która często ulega urazom. Jeśli więc Polak dozna urazu palca ręki, drugi Polak natychmiast stwierdza: „palec wybity, zaraz naciągniemy”, co też czyni z ochotą i znowstwem. Udzielający „pomocy” najczęściej nie zdaje sobie sprawy, że kość niekiedy bywa złamana, a ostre odłamy kostne podczas manipulacji mogą uszkodzić naczynia krwionośne lub nerwy. Jest to typowy przykład tzw. niedźwiedziej przysługi.

Na marginesie warto przypomnieć doniesienia lubelskiej prasy sprzed lat o „racjonalizatorze”, który skonstruował maszynkę do łamania palców i współdziałał z byłym sanitariuszem pogotowia ratunkowego. Ten ostatni dokonywał znieczulenia przed „zabiegiem” kradzionymi zastrzykami. Wymienione usługi były odpłatne, ale poszkodowany wychodził na swoje, bowiem nie ujawniając prawdziwej przyczyny urazu, otrzymywał bezpłatne zaopatrzenie medyczne w uspołecznionym zakładzie służby zdrowia i kilkutygodniowe zwolnienie lekarskie. Miał także prawo do wymagania pomocy i współczucia ze strony otoczenia. Jeśli wziąć pod uwagę, że najczęściej poddawano złamaniu piąty palec lewej ręki, to okazywało się, że poszkodowany był zdolny do chałturzenia podczas „chorobowego”.

Niebagatelne znaczenie dla propagowania niewłaściwych zachowań w nieszczęśliwych wypadkach ma... film i telewizja, chociaż jest to działanie niezamierzone. Stereotypowo powielane, zgodnie ze scenariuszem, rodzaje niektórych działań „zdrowot-

nych” utrwalają się w świadomości widzów. Jakże często w filmie widzimy nieprzytomnego, który w ramach pierwszej pomocy pojęty wodą, a nawet wódką, natychmiast otwiera oczy, chociaż teoretycznie mógłby zachłysnąć się i umrzeć (np. odcinek 9 serialu „Oshin” — TP 5.11.85).



Rys. Andrzej Słok

Woda stosowana bywa również w dużych ilościach do polewania zemdlonych, natomiast niewiele osób wie, że natychmiastowe polanie oparzonego miejsca zimną wodą znacznie zmniejsza skutki oparzenia. W oparzeniach zaś ulubiony, lecz błędny sposób udzielania pierwszej pomocy polega na smarowaniu oparzonego miejsca różnymi tłuszczami.

Przedstawione rodzaje nieprawidłowo udzielanej pierwszej pomocy są równie niewłaściwe jak zaniechanie tej pomocy, zwłaszcza w stanach bezpośredniego zagrożenia życia.

Do takich stanów należy zatrzymanie oddechu. U osób głęboko nieprzytomnych, szczególnie jeśli znajdują się w pozycji z głową przygiętą do przodu, zwiotczała nasada języka może zamknąć wejście do głośni i spowodować niedrożność dróg oddechowych. Zatkanie dróg oddechowych może być również spowodowane ciałami obcymi (materiały sypkie, woda, skrzepy krwi).

Inną przyczyną powodującą zatrzymanie oddechu bywa porażenie prądem elektrycznym, uraz głowy lub zatrucie. Następstwem zatrzymania oddechu jest ustanie krążenia krwi. Przerwanie wymiany gazowej w płucach prowadzi do nieodwracalnych zmian w tkankach, a najbardziej wrażliwą na niedobór tlenu jest tkanka mózgowa. Mózg pozbawiony tlenu przez kilka minut zaczyna obumierać.

Biorąc powyższe pod uwagę, jasno widać, że poszkodowany z zatrzymaniem oddechu i krążenia najczęściej zdany jest na pomoc osób znajdujących się na miejscu wypadku. Często jednak pomoc tych osób ogranicza się do wezwania pogotowia ratunkowego (np. film „Krystyna” z serialu „Trapez” — TP — 3.11.85). Zdarza się wręcz, że niektóre osoby powstrzymują tych, którzy chcą udzielić pierwszej pomocy, odwiekając działanie do czasu przybycia pogotowia ratunkowego lub milicji.

Zasadniczą czynnością w przypadku zatrzymania oddechu jest udrożnienie dróg oddechowych, do czego wystarcza nierzadko właściwe ułożenie poszkodowanego (na plecach z odchyleniem ku tyłowi głowy). Jeśli oddech nie powraca, należy wykonać sztuczne oddychanie metodą usta-usta lub usta-nos. Zatrzymanie krążenia krwi wymaga zastosowania masażu serca. Metoda usta-usta jest prosta i skuteczna, przez starożytnych Greków zwana pocałunkiem życia i stosowana także przez prymitywne plemiona. Nawet w Biblii jest wzmianka o sztucznym oddychaniu przez wdmuchiwanie powietrza do ust ratowanego.

Nauka udzielania pomocy w przypadku zatrzymania oddechu i krążenia powinna być regularnie prowadzona w telewizji. Ale telewizja, częściej niż ratowania bliźnich, uczy nas, jak wybić kwiatek z ciasnej doniczki, aby go przesadzić do większej (np. w II i III kwartale 1985 r. przesadzanie kwiatów widziałem w telewizji trzy razy, a reanimowanie człowieka tylko raz).

Należy jednak przyznać, że dzięki telewizji przynajmniej AIDS nas nie zaskoczy.

Lucjan Kleczkowski

Muzyka młodzieżowa

Marionetki rocka

PO sławetnym niewypale fonograficznym i lubelskiej kompromitacji grupy Papa Dance (podczas „Prezentacji”) przypomina mi się przykurzona historia The Monkees. Otóż w latach sześćdziesiątych paru przedsiębiorczych speców show businessu zaplanowało stworzenie w Ameryce supergrupy, która byłaby w stanie zagrozić Beatlesom. Całe przedsięwzięcie wprowadzenia grupy na muzyczny świecznik (łącznie z nagraniami i oprawa plastyczna koncertów) zaplanowano w najdrobniejszych szczegółach. Pozostał jedynie „drobiazg” — znalezienie osób z odpowiednią prezentacją, które dałyby się sterować w rolach idoli pop-kultury.

zgrzywa, jak kiedyś Różowe Czuby. Włos zjeżył mi się nie na żarty w momencie kiedy „Express Wieczorny” zakomunikował rodzinnym entuzjastom lepszej muzyki o manewrach studyjnych kapeli. Skończyły się wtedy żarty a zaczęły schody.

Do dziś nie wiem i pewnie się nie dowiem, na jakiej podstawie zaproponowano nagraniem longplaya grupie bez żadnego (sic!) wyrazu, dorobku i jakiegokolwiek koncepcji artystycznej, nie mówiąc już o braku zdolności czysto manualnych o czym za chwile. Płyta została jednak nagrana. Efekt studyjnych zmagania z materiałem dźwiękową wydała w szybkim tempie polonijna firma „Savitor”. I cóż usłyszeli-



Repr. Adam Trochimiuk

Dobierano ich ponoć długo i starannie. W rezultacie powstała grupa The Monkees — reklamowana jako czołowa kapela świata. „Małpiszony” miały do dyspozycji wszystko — studio nagrań, przychylnie nastawione środki masowego przekazu i horrendalną reklamę. Niestety, wszystko na próżno. Nastolatnia publiczność nie dała się całkiem zwariować i The Monkees ogłosili upadłość szybciej, niż przewidywali to jego sponsorzy. Podobny los czeka formację Papa Dance, adresującą swe naiwne piosenki do przedszkolaków.

Zespół „Papa Dance” (pierwotnie: Papa Doc) wymyśliło dwóch obrotnych i zdolnych skądinąd realizatorów nagrań w studio Tonpressu. Uznali, że skoro potrafili wytwarzać znakomite brzmienie niejednej grupie, to dadzą sobie również radę jako autorzy i promotorzy nowej, wymyślonej przez siebie i dokładnie zaprogramowanej formacji, o niewyszukanych może melodiach ale bardzo chwytliwych. Od pomysłu do realizacji droga krótka, zwłaszcza jeśli ma się pod ręką odpowiedni sprzęt i niezłe studio. Przypomnieli sobie historię studyjnych sukcesów papierowej grupy Boney M. i ruszyła produkcja. Na początek napisali piosenkę o prostym szlagwercie „W 40 dni dookoła świata” i zaproponowali jej wykonanie czterem chłopcom o buziach niewinnych aniołków. Lansowanie numeru powierzono uroczemu panu Krzysiołowi z telewizyjnej audycji „Przeboje Dwójki” i zaczął się istny cyrk. Piosenka nadawana była tak długo i często, aż „kupili” ją najmłodsza i najmniej wybredna publiczność.

Pierwsze lody były przełamane. Po tak efektywnym wejściu na top można było szycować kolejną „bombę” w postaci „Ordynarnego faula”. Sądziłem początkowo, że cała akcja promocyjna Papy w telewizji jest wielka

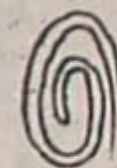
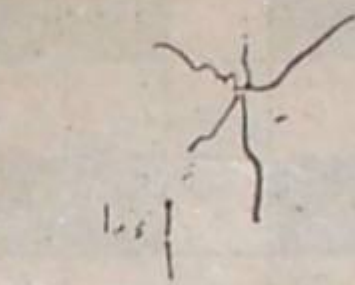
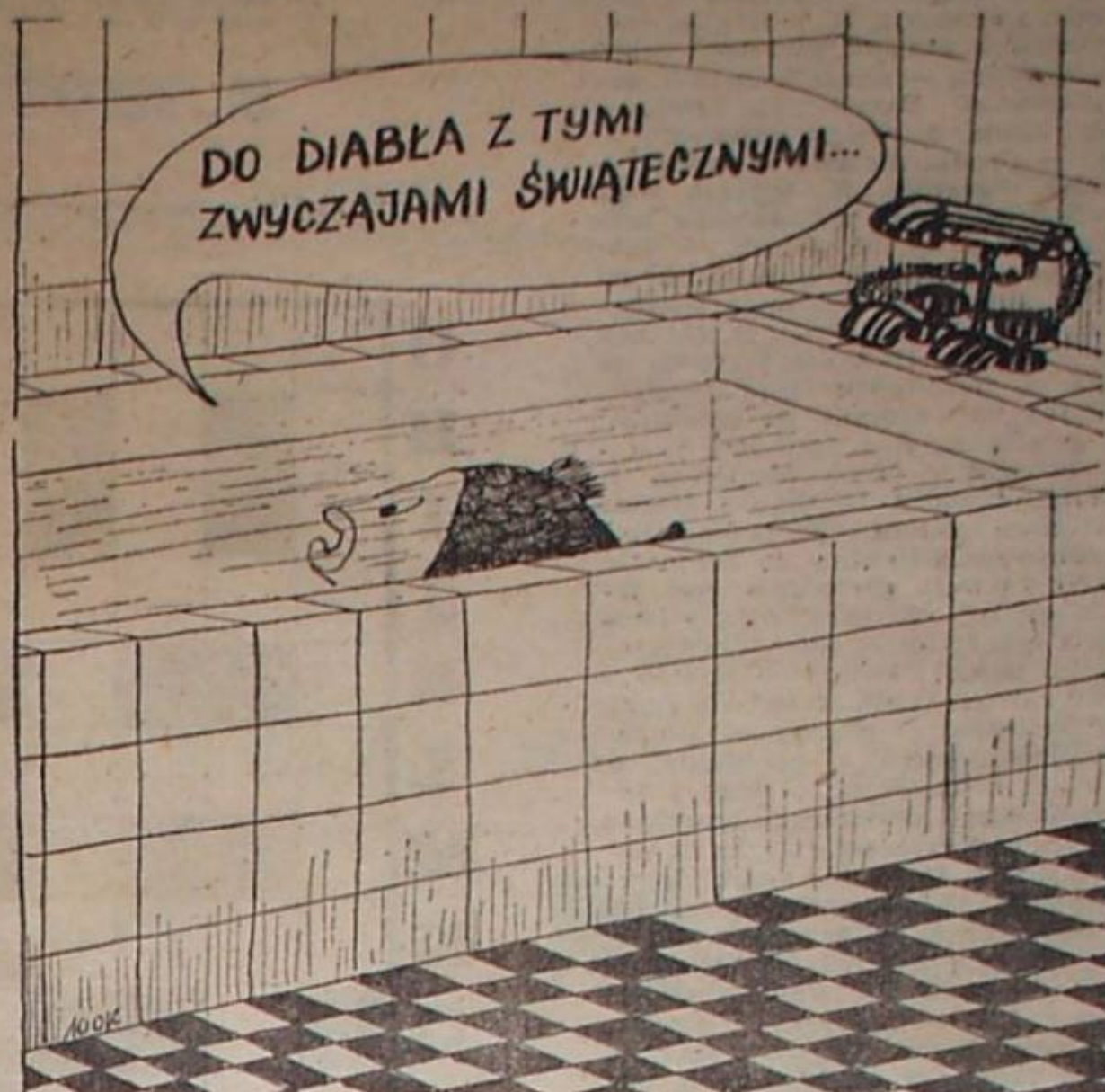
my? Zenująco słabe kawałki: „Kamikadze wróć”, „Pocztówka z wakacji”, „Tatuowana róża”, „Panorama Tatr” i parę innych bzdetów, które w założeniu twórców miały rzucić młodych na kolana. Oczywiście nie sprawiły większego wrażenia. Słuchając ich, dajmy na to przy goleniu, ma się ogromną ochotę ciałach brzytwą szmirusów. Na szczęście są daleko.

Być może sprawa płytowego nieporozumienia przychodziła jakoś, gdyby członkowie grupy nie zechcieli zażyć sławy estradowej. W studiu mogą korzystać z wielu przywilejów, a na scenie? Nie wiem doprawdy kto podsunął chłopcom pomysł popisów scenicznych. Wiem natomiast, że był to pomysł fatalny. Najpierw w Opolu, a później w innych miejscach kraju grupa obnażyła swoją nicotę. Amatorszczyzna wiało od tych koncertów na kilometr. Można oczywiście postawić pytanie, czy promowanie podobnych „idoli” ma jakikolwiek sens i czy przypadkiem nie wykoślawia się gustów młodych, częstokroć bezkrytycznych nastolatków?

Nie wróżę grupie Papa Dance długiej kariery. Być może rockowe marionetki będą jeszcze jakiś czas odgrywały zaprogramowany show, ale ich banalna, plastyczna muzyka nie wytrzyma próby czasu. Jakże bowiem można mówić o olśniewaniu odbiorcy, jeśli zna się zaledwie parę akordów i ma się bardzo mgliste pojęcie o harmonii, rytmie, aranżacji, dykcji? Na dobrą sprawę działania grupy przypominają mi rozmowę ze ślepym o kolorach. Kto miałby choćby cień wątpliwości, odsyłam do bębła „Savitoru” uprzedzając łagodnie, że doznania akustyczne mogą nie poprawić wątpliwemu humoru.

Istvan Grabowski

Rysował Andrzej Stok



100K.



Archiwum mistrzów anegdoty

W pewnym towarzystwie przebywała znana piękność. Ktoś z obecnych spytał Bernarda Shawa:

— No, jak się panu ona podoba?
— Bardzo! Rzeczywiście piękna i młoda. Gdyby jeszcze była głupia, to nie dodać, nie ująć.

Jak wiadomo, Conan Doyle w wolnych chwilach trudnił się spirytyzmem, stając się z czasem jego fanatykiem. Pewnego razu autor Sherlocka Holmesa spotkał się z Bernardem Shawem i postanowił „nawrócić” sceptycznego pisarza. Zaczął więc opowiadać o swych doświadczeniach ze stółkiem.

— Gdy wyciągnę dlonie — mówił — stółek zaczyna się cofać i ustępować...
— Oczywiście! — przerwał Shaw — mądry z reguły ustępuje pierwszy...

Jeden z reżyserów, który skrócił sztukę Shawa, otrzymał od niego następujący list: „Zgodziłem się na wystawienie mojej sztuki w pańskim teatrze, co dało panu sposobność ją skrócić. To jest pańska wina. Gdy w przyszłości nie będzie pan miał więcej sposobności znieść się nad moimi sztukami, to będzie moja wina”.

Pewnego razu Shaw składał deklarację podatkową. Wypełniając rubrykę z pytaniem: „Kto jest współnikiem w pańskim interesie?” — napisał: „Urząd podatkowy”.

Wyszperat:
Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunta Mańkowskiego (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasliński (dł. redaktor naczelny), Ewa Dybek (korektor — Barbara Caban, Lidia Woicki (Redaktor techniczny — Zmowa Dybek). Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skróć. W sprawach literackich przyjmujemy interesantów kierownik działu w ciatki w godz. 14-18. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 1. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 235-30. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 235-83, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-33. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-029 Lublin skrytka pocztowa 231, dolecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Poziomo: A. czasownik z „e” na koncu, B. nóż do strugania kory, C. włoszczyznowe warzywo, D. cienka tkanina bawełniana; — nauka szkolna, E. ryba najlepsza w smietanie, F. pojazd dwu lub czterokolny na resorach, — jedno w atomie, G. zastępca oskarżyciela publicznego; — frygijska oogni płodności i urodzaju, H. w dawnej Polsce pouczenia prawne większych miast dla mniejszych; — pisarz francuski, autor „Dzwonów Bazylei”, I. linka; — głupiec, idiota, J. zawsze elegancko ubrany; — popularnie zwą go mesel; — handluje literaturą, K. większa wieś; — stary żołnierz, L. wykarczanie tkalin, papierów itp. na polysk, — substancje przenoszące; — poduszeczki na końcach palców, M. angielscy konserwatyści; — stolica Jordani, N. gatunek lamy; — stan w USA lub materiał na spodnie, O. niepożądany gość; — dział matematyki, P. kręcony do pieczenia; — na musztardę, R. czasomierz, S. gumowe obuwie; — żona Peryklesa, T. imię kilku papieży, U. tkanka mięsna i tłuszczowa razem, W. przesunięcie pracownika np. z Lublina do Zamościa.

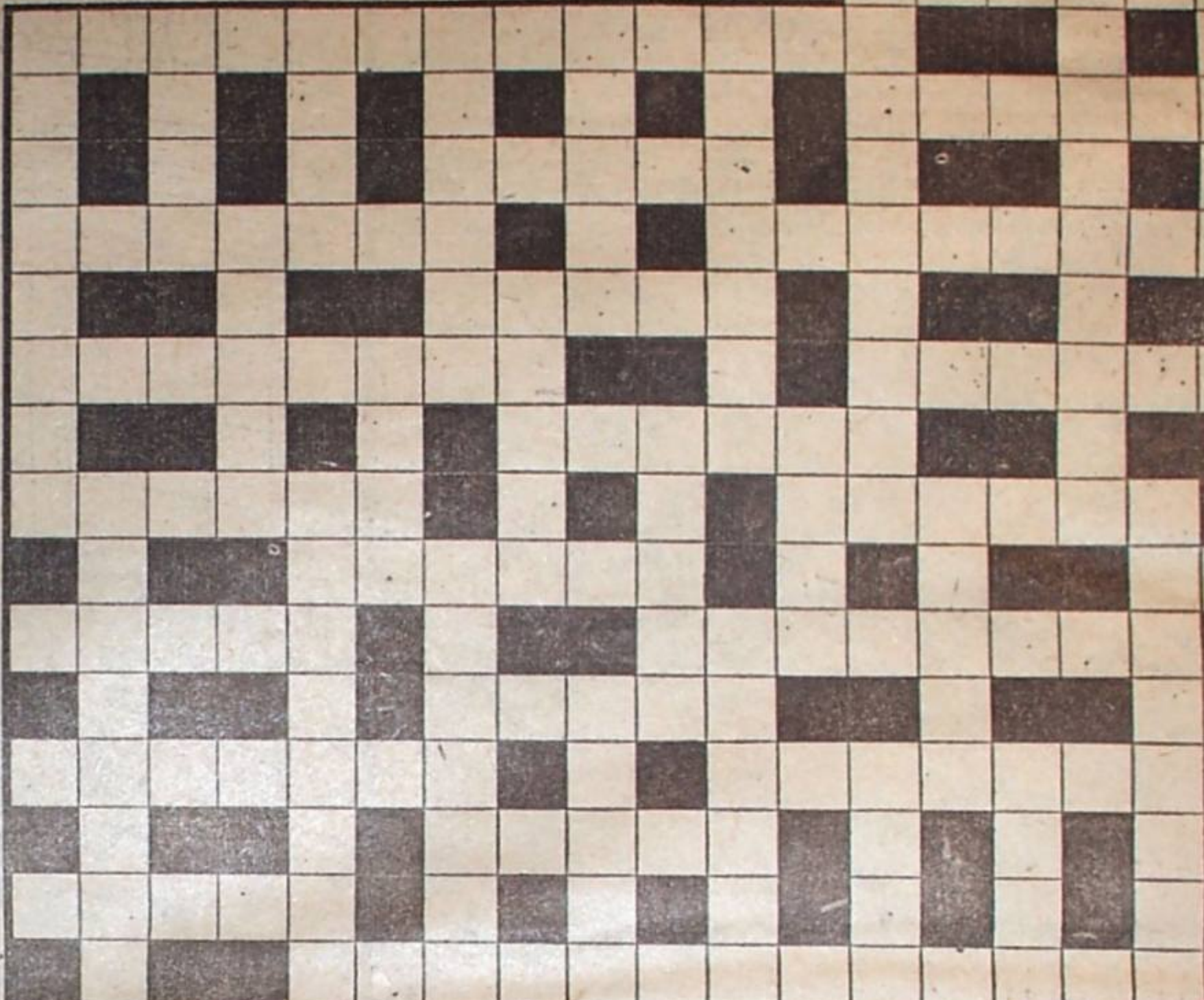
Pionowo: 1. górowanie pod jakimś względem, 2. grudniowa solenizantka, 3. tytuł Mussoliniego, 4. martwy język, 5. piękny kwiat; — lampa z ekranem telewizyjnym, 6. kawalerzysta, 7. brat Polluksa; — pogromca Minotaura, 8. leśny bożek z kopytkami, 9. część walki bokserskiej; — wieś z anteną nadawczą pierwszego programu radiowego, 10. brzoza gałązka do dawanja w skórę, 11. dzikie koniki leśne; — odwalanie skib ziemi plugiem, 12. kierownica statku, 13. grudniowe święta; — zawiązki kwiatów, 14. złamała nóżkę, bo skakała, 15. kojarzy się ze świętem z 13; — budowniczy pieców, 16. francuski hymn, 17. autonomiczna republika radziecka na płn. wsch. europejskiej części Rosyjskiej FSRR; — polska miara długości 84 łokcie, 18. chełmska kopalina, 19. stolica Zambii; — drapieżne polipy — koralowce, 20. dawna jednostka pojemności plynów, 21. zielonozółty gaz trujący, pierwiastek chemiczny; — jezioro na Wybrzeżu Słowińskim, 22. mydlana lub na mleko, 23. zgrubienia na skórze; — upust od ceny przy zaplaceniu przed terminem, 24. wulkan w old Islandii, 25. przenośnik taśmowy; — wieś letniskowa nad Liwcem, 26. olbrzym o 100 oczach, 27. państwo w Afryce Równikowej, 28. mieszkanko na wyższej kondygnacji, 29. odróżnia się przy ich pomocy ludzi.

Krzyżówka Świąteczna z szyfrem

nr 25



G
H
I
J
K
L
M
N
O
P
R
S
T
U
W



1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17

A
B
C
D
E
F

18 19 20

SZYFR
R9. G3. F17 / I7. D17. C28 / F27. G12. A13. M10. J13. J3 / B26. I3. D26. E25. M20. N21. L17. U4. G2 / C19. I8. A19. B28. L15. M21. N8 / J29 / K10. O21. K19. O14. T15. P13. F26 / N5. H28. O24. L24. J27. H29. M13. O28 / F29. I13 / S16. P17. D16. L18. J24 / T2. P11 / K21. G10. F14. G20. L29 / K1 / G6. L28. O23. A28. A20. C20 / O22. J18. I18. D25. U17. D24. G24. H26. I22. K8. J22. N27. C17 / M12. G7. N19. K11. J9. H11. R17. T13. A21 / P3. S4. M6. W9. U11. O25.

W6. S15. M9. C15. / W15. O29 / J11. L23. W12. N12. R8. T8. O9. T11. N14. S17. U1. B21 / E23. K29. W13. S9. O17. W14. P16. R7. O6. J14 / I5. H16. J15. I1. W17. E13. L19. N16 //

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów pra-

widlowych rozwiązań rozlosujemy trzy bony książkowe o wartości 1000 zł każdy.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 23 Z SZYFREM

Poziomo: Feuchtwanger, stół, zęb, odwet, Irie, agat, Raszyn, archeolog, helm, Izara, skład Aden, Mirandola, Rzecki, gama, rzut, Lesko, Dys, Wyka, Kunciewiczowa.

Pionowo: Penederecki, cnata, gwiazdor, antenat, przechyl, żaba, Ropa, eremita,

gol, oddanie, Orzeszkowa, Auderska, krzesiwo, kartacz, rym, klucz, azyi, Adam.

Szyfr
Człowiek pola nigdy nie odpoczywa, dopiero wtedy gdy włożą go do grobu.

Julian Kawalec
WEZWANIE

Nagrodę wylosował Janusz Szymański, ul. Królewska 47/66, 00-103 Warszawa.

POWIEŚĆ Z „HYDE PARKU”



12

— Wzruszyłeś mnie do głębi! — powiedziała Halina. W gruncie rzeczy była zadowolona, że trzyma teraz szwagra w niepewności. Nie należała do intrygantek i ani przez moment nie miała zamiaru donosić cokolwiek siostrze, ale Leon nie musiał o tym wiedzieć. „Niech się truje — pomyślała. — Przynajmniej zamknę mu buziuchnę i przestanę się wtrącać w moje sprawy”.

— Kończę temat, wyciągam łapę do zgody, ale poszukaj dzieciaków, bo już się zaczynam denerwować.

Halina nie chciała przeciągać struny. I tak już jej było na wierzchu...

— Dobra, leć! One muszą być piętro wyżej. Nie pomyliła się.

— Tata — Mirek objął ojca za szyję — ty musisz tak późno wracać do domu?

— Nie gadaj, nie gadaj, każdy ma swoje obowiązki. Jakby tatuś nie pracował, to nie byłoby nawet chlebusia Halina, daj im coś jeść!

— Ja chcę, żeby mamusia mi dała kolacyjkę! — zaszczebiotała Małgosia.

— Ciocia wam przygotowuje. Mamusia jeszcze

pracuje i nie wiem, kiedy przyjdzie.

— Ładna praca — zamruczała Halina.

— Co tam mówisz?

— Nic, nie, ja tylko tak sobie.

Na powrót Izy Leon musiał jeszcze czekać ponad dwie godziny. Dzieci już spały.

— Taka jestem zmęczona... — Nie powiedziała „dobry wieczór”, nie przeprosiła. Zjawiła się jakby nigdy nie.

Halina poszła już do siebie, a Leon siedział wściekły w kuchni. Udawał, że jest bardzo zaabsorbowany lekturą „Kuriera”.

— Dzieci zjadły kolację?

Nie odpowiedział.

— Co cię tak zamurowało? — Zbliżyła się do niego. — Pileś?

Nadal milczał.

— Schlałeś się?

— Wiesz co? — Nie wytrzymał. — Twoja bezcelność przekracza wszelkie granice. Cuchnie od ciebie alkohol na kilometr, wracasz niemal o północy i jeszcze masz dzikie pretensje. Jakim prawem? Pilnuj siebie! Masz swoich fagasów, to się nimi zajmuj, a mnie daj święty spokój!

— Wiesz, gdzie byłem! Mogłeś przyjść do „Unii”. Nikt ci nie zabraniał.

Jeszcze czego! Prosiłaś mnie? Iza, ja ci mówię, że to się źle skończy. Dostę mam tych dwóch kolacyjek. Pierwszy raz słyszę, żeby do załatwiania interesów była potrzebna sekretarka pana dyrektora. Żebyś jeszcze знаła język i występowała w roli tłumaczki, to bym może i zrozumiał. Jaka właściwie jest twoja rola? Masz przewracać oczyma? Masz dać się oblaapywać? Niech sobie twój dyrektor zatrudni jakąś dziewczę do tej roli! No, ale dziewczka kosztuje, ty pójdziesz za darmo!

— Leon, nie denerwuj mnie! Nie mogłam odmówić.

— Tego rodzaju kolacyjki nie wchodzi. O ile wiem, w zakres twoich obowiązków służbowych?

— Ciekawa jestem, jak ty byś postąpił na moim miejscu?

— Powiedziałbym, aby mnie pocałował w dupę. Tak po prostu. W dupę, rozumiesz?

— Kulturalnie, nie ma co, panie inżynierze!

— A ty wobec mnie postępujesz kulturalnie? Czy choć na moment zastanowiłaś się, jak ja w tej sytuacji wyglądam?

— Rogów ci nie przyprowadzam.

Leon zmiął gazetę w kulkę i rzucił nią w kierunku żony. Już nie usiłował ukrywać swej irytacji.

— Jeszcze raz ci powtarzam, że ja mam tego dosyć. I ostrzegam, że jeśli podobna historia się powtórzy, to... to... — zastanawiał się, co powiedzieć — to dam ci normalnie po pysku. Ja nie pozwolę się ośmieszać. Ty myślisz, że mnie w mieszkaniu nie znają? Ze ciebie nie znają? Chcesz, żeby mnie ludzie wytykali palcami? Żeby na mój widok kreślił kółka na czole?

— Uspokój się! Podpileś sobie i teraz rozrabiasz!

— Iza, ty mnie nie doprowadzaj do ostateczności!

Zrobiło się coraz głośniejsze. Halina uznała, że trzeba załagodzić sytuację. Wkroczyła do kuchni.

— Przestańcie się kłócić, bo dzieci ledwo co usnęły. — Słyszała całą rozmowę i wcale nie uważała, że jej siostra ma rację. Nie chciała jednak dolewać oliwy do ognia. — Dałam im — usiłowała zmienić temat — chleb z kielbasą i resztkę tej sałatki jarzynowej. Mirek zjadł z apetytem, ale Małgosia trochę marudziła.

— Nie mogłam się wcześniej urwać. — Usiłowała się usprawiedliwić bardziej przed siostrą niż przed mężem.

— Zostawcie tę gadkę na jutro.

— Już jest jutro! — Przerwał Leon. — Przecież tak daleko być nie może, sama widzisz. Człowiek nie ma nerwów ze stali.